

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

ROZBUJAŁA FANTAZJA PESYMIŚTÓW

NIEDYSKRECJE:

Licytacja budżetowa	98
Rozbujała fantazja pesymistów	"
Jak torturowano dzieci w Studzińcu	"
PROBLEM ALZACKI I JEGO DALSZE REFLEKSY — <i>Fl. S.</i>	99
OSIEM LAT PRACY d-ra SOLFA — <i>St. Poraj</i>	100
OSTATNI OKRES CARATU— <i>T. Grużewski</i>	101
DZIECI WYCHODŹTWA POWINNY PO- ZNAĆ DUCHA POLSKIEGO	"
Dwa żywioły — <i>Paweł Hulka-Laskowski</i>	102

„GŁOS PRAWDY“ LITERACKI

Perspektywa — <i>Maurycy Rum</i>	105
Miłość błękitna — <i>Tadysz Horzelski</i>	106
Polesie — <i>Jan Szczawiej</i>	"
Ktoś powraca w rodzinne strony — <i>Emil Schürer</i>	"
Na marginesie — <i>ikb</i>	107
Matowa kresa — <i>St. Furmanił</i>	108
Sztuka czy tysiączki — <i>Juljusz Kaden- Bandrowski</i>	109
Marco Praga — <i>Fr. Szyfmanówna</i>	"
Odpowiedzi	110

NIEDYSKRECJE

LICYTACJA BUDŻETOWA na terenie sejmowym dobiega końca. Kto uważnie śledzi metodykę tej pracy, dojść musi do smutnego przeświadczenia, że właściwie ta długa, mozolna „praca” pozbawiona bywa głębszego sensu. Na dyskusji zbyt często lawy poselskie świecą pustkami, mówcy wypowiadają swe pięknie opracowane elaboraty, lecz słucha ich wywodów rzadko obsadzona sala. Do kogóż więc mówią i kogo przekonać mają o słuszności swych wywodów? Wszystko w sztabach partyjnych jest ustalone, postanowione, bez głębszego zresztą rozważenia interesu państwowego ale za to z głębokim postanowieniem podkreślenia swego stanowiska na gruncie doktryny partyjnej. Po stronie opozycji nie widać dotąd przejawów przenikania twórczej myśli i tego zrozumienia, że w pewnych wypadkach należałoby zawiesić na kolku odpowiedni artykuł doktryny, której realizacja i tak przewidziana jest na sto co najmniej lat, a wmyśleć się w interes państwa, w realną wymowę rzeczywistości, w ową *réalité des choses* dnia bieżącego. 800 z górą poprawek do budżetu ilustruje bogactwo pomysłów poselskich, umiejętność komplikowania pracy rządu w tak ważnej dziedzinie, jak gospodarka finansowa. No i ilustruje także dosadnie pogoń za popularnością, za podkreśleniem swojej „ważności”, swego giestu. Wszystko zaś opłynięte bywa hasłami dobra ludu, troską o dobrobyt, wspaniałomyślnością ducha. Tylko że w owej opływającej tłuszcem hojności rąk i mózgów poselskich walczyć będzie państwo, w którym rodzi się i kończy dobrobyt ludności, z trudnościami wykonania hujnych postanowień poselskich, — o tem na nieszczęście zbyt mało się myśli.

ROZBUJANA FANTAZJA PESYMISTÓW opozycyjnych kazala przywykłym do oligarchji przywódców partyjnych, a nawet i pomniejszym rybkom tego szerokiego stawiska, jakim jest życie polityczne, widzieć wszystko w najczarniejszych kolorach. Pomiędzy wielu trudnościami rozwikłania trudnych sytuacji podkreślano zarówno na prawicy, jak na lewicy politycznej, że miarą nieopanowania sytuacji przez obóz pomajowy miała być rzekomo niezdolność do wypełnienia naczelnego zadania tego obozu — wytworzenia jednolitego projektu zmiany konstytucji. Wedle tych „stwierdzeń” miało wynikać, że obóz pomajowy, reprezentowany na gruncie parlamentarnym przez Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, nie mógł doprowadzić do uzgodnienia stanowisk poszczególnych reprezentantów różnych grup społecznych. Nie było mowy na trybunie sejmowej, nie było artykułu w prasie opozycyjnej w sprawach zasadniczych, gdzieby nie dotknięto tej sprawy — wytworzenia projektu zmian konstytucji. Wszak jeszcze w przeddzień wniesienia projektu przez Blok do łaski marszałkowskiej naczelny publicysta organu C. K. W. P. P. S. wykazywał, że o projekcie zmiany konstytucji — ani słycho. Czy w tych ciągłych napomina- niach, wezwaniach, wyrzutach, nie brzmiała nuta niecierpliw- **terackie.**

ści, może chęć sprowokowania oświadczenia, że się nad tem pracuje i do targów jest się gotowym? Pamiętamy dobrze, jak to na tle lipcowych rozważań różnych pomysłów ustrojowych, wcale zresztą nikogo nie obowiązujących, ukuto srogą broń przeciwko Blokowi, jak wysnuwano długie tasiemce polemiczne z rzekomymi projektami, które nie istniały. Faktem jest niezaprzeczonem, że ośrodkiem napiętego zainteresowania sfer politycznych była ciągle, od czasu zwołania obecnego sejmowa konstytucji. Im więcej czasu dzieliło nas od owej dyskusji, tem silniej domagano się wniesienia tego projektu, powiedzmy to wyraźnie — w gruncie rzeczy nie wierzone w to, by tak rychło projekt ten się ukazał. Uważano za niemożliwe, by jakaś plotka, lekkomyślność dziennikarza, niedyskrecja kogoś z twórców, nie sygnalizowała biegu prac nad konstytucją, — biegu, który przecież — każdy to rozumie, nie mógł być ani błyskawiczny, ani łatwy. Należy też stwierdzić z całą pewnością, że ukazanie się projektu nowej konstytucji było dla wielu wytrawnych polityków — niespodzianką w całym tego słowa znaczeniu. Należy też zapisać na niezwykle dodatnie konto twórców projektu, iż — tak długo milczeli. Nie narazili przez to milczenie poszczególnych artykułów projektu na przedwczesną dyskusję, która napewno nie przyczyniłaby się do podtrzymania jednolitości myśli i struktury całości, ani do spokoju, tak potrzebnego przy rzetelnej pracy nad ustawą państwową. Bomba wybuchła niespodziewanie! Toteż opinja poszczególnych klubów dotąd nie zdołała się skryształizować i upłynie zapewne sporo wody, zanim rozpocznie się rzeczowe omawianie projektu. Tymczasem zaś szerokie sfery społeczeństwa będą miały czas na powzięcie własnej opinji, nie ulegając przedwczesnej sugestji partyjnych, czy partykularnych doktryn.

JAK TORTUROWANO DZIECI W STUDZIEŃCU, o tem dowiaduje się że zgrozą społeczeństwo z dnia na dzień z toczącego się obecnie przed warszawskim sądem okręgowym procesu, wytoczonego przeciwko bandzie sadystów z dyr. Kwaśniewskim na czele. Wśród oskarżonych, którzy w liczbie dziesięciu zasiedli na wspólnej ławie — są ludzie inteligentni i półinteligenci. Jeden z tych ostatnich padł przed paru dniami ofiarą samosądu ze strony współwięźniów. Odruch ten, aczkolwiek ze stanowiska legalności niedopuszczalny, jest jednak zrozumiały z punktu widzenia psychologicznego. To też wielką niespodzianką była odczytana na przewodzie sądowym przychylna opinja o zakładzie studzienckim i jego kierownictwie — jednego, z prezesów Sądu Najwyższego, p. Aleksandra Mogilnickiego Mocny natomiast protest przeciwko haniebnym stosunkom panującym w Studzienku wystosowali w liście otwartym do p. ministra sprawiedliwości pisarze polscy z Juljuszem Kaden-Bandrowskim na czele. Pod listem tym widzimy m. i. podpisy Wacława Berenta, Wacława Sieroszewskiego, Karola Irzykowskiego, Jana Lechonia, Leopolda Staffa, Zofji Nałkowskiej, Piotra Chojnowskiego, a zatem pisarzy reprezentujących różne ugrupowania ideowe i wszystkie istniejące w Polsce zrzeszenia li-

PROBLEM ALZACKI I JEGO DALSZE REFLEKSY.

Wyzwolona Alzacja sprawia Francji niemały kłopot. Absurdem byłoby mówienie o nowej „sprawie alzackiej” w tym sensie, w jakim przez lat tyle stanowiła ona hipotekę wojenną na pokój Europy, a jaki i teraz, pomimo Locarna, pragną jej nadać krańcowi nacjonałiści niemieccy, niemniej jednak nawet w tej swojej skromnej postaci, zlokalizowanej do wewnętrznego zagadnienia państwowości francuskiej, należy ona do owych trudnych problemów politycznych, które zawierają w sobie niebezpieczny ferment odśrodkowy i wymagają szczególnie ostrożnych metod dla ich sprawiedliwego rozwiązania.

Francja jest w swojej strukturze administracyjnej krajem nawskroś centralistycznym. Ustępstwa na rzecz regionalizmu są tam całkowicie nieznanne i sprzeczne z duchem organizacji państwowej. W przeciwstawieniu do Anglii, tej klasycznej ojczyzny samorządu lokalnego, jaknajdalej idąca centralizacja władzy jest podstawą całego aparatu państwowego republiki francuskiej. System ten, oparty na tradycjach stuleci, sięgających czasów Ludwika XIV, wzmocniony został później zarówno przez niwelujący odrębności prowincjonalne wpływ rewolucji, jak i przez metody rządzenia pierwszego i drugiego cesarstwa. Trzecia republika rozbudowała go jeszcze pełniej i podniosła nieomal do wyżyn dogmatu, którego naruszenie godzi w samą istotę państwa.

W tym stanie rzeczy silne prądy autonomistyczne, które zdradza Alzacja po powrocie na łono macierzy, wydają się większości opinii francuskiej, niezależnie od jej barw politycznych, niedopuszczalnemi roszczeniami, podkopującymi podstawy jednolitości narodowej republiki.

Czy alzaccyzy są mniejszością narodową? Poincaré w ostatniej swojej mowie, gromiąc autonomizm alzacki, zaprzecza temu kategorycznie. Pojęcie mniejszości narodowej przez swoje skojarzenia ze wschodem Europy stało się takim straszakiem dla państw zachodnich, że ich mężowie stanu odżegnywują się od samego brzmienia tego terminu. Ale kwestja tej czy innej definicji nie załatwia sprawy. Odrębność językowo-kulturalna prowincji alzackiej nie ulega wątpliwości, i w tem właśnie leży sedno, a zarazem cała trudność zagadnienia, nad którym toczą się namiętne debaty w parlamencie francuskim.

Pod zaborem niemieckim Alzacja korzystała z pewnego samorządu administracyjnego. Po odzyskaniu jej przez Francję ten samorząd został zachowany w okresie przejściowym. Alzacja rządzona była w przeciągu kilku lat przez gubernatora generalnego z ramienia republiki, miała swój budżet i swoją administrację. Dopiero radykalno-lewicowy gabinet Herriota przystąpił do całkowitej unifikacji wyzwolonej

prowincji z resztą republiki. Zdaniem wielu, gdyby nastąpiło to bezpośrednio po zakończeniu wojny, ruch autonomistyczny nie rozrósłby się do tak poważnych rozmiarów. Popelniony błąd nie daje się jednak łatwo naprawić. Zresztą, mylnem wydaje się składanie na ten okres przejściowego samorządu całkowitej odpowiedzialności za obecny stan rzeczy. Przypuszczać raczej wypada, że niezadowolenie ludności alzackiej z nowych rządów ujawniłoby się w tym wypadku o wiele wcześniej.

Jednym z jego głównych motywów, poza skargami na ucisk policyjny, pozbawienie uprawnień samorządowych, ciężary podatkowe, wypieranie krajowego języka — narzecza niemieckiego — oraz biurokracizmem władz centralnych, jest rozciągnięcie na Alzację prawa o rozdziale kościoła od państwa, tak jak jest ono stosowane we Francji. Zarówno katolicka jak i protestancka ludność Alzacji protestują przeciw laicyzacji szkół, przeprowadzanej ze szczególną bezwzględnością za rządów Herriota.

Sprawia to, że hasło autonomizmu alzackiego, wysunięte pierwotnie przez radykalne żywioły ludowe, a wyzyskiwane dla celów agitacyjnych przez komunistów, zdobyło sobie gorących zwolenników wśród sfer konserwatywno-klerykalnych. Ale nawet najskrajniejsi autonomiści stoją niewzruszenie na gruncie państwowości francuskiej i, podkreślając na każdym kroku swoją lojalność patriotyczną, odrzucają wszelką myśl o separatyzmie.

Tak wygląda problem alzacki w świetle obiektywnej prawdy. Sądząc choćby z przebiegu debaty w izbie deputowanych, która obfitowała w momenty dramatyczne, oraz z głosów prasy, poruszył on do głębi opinię publiczną Francji i jest poważną troską obecnego rządu republiki.

Ma on wszakże i swoją inną stronę. Nie ulega wątpliwości, że od pewnego czasu patronująca wszelkim „mniejszościom narodowym” propaganda niemiecka, przyczyniła się wydatnie do jego zaostrzenia. Jak dowodzi Poincaré w ostatniej swojej mowie, marki niemieckie były bardzo czynne w podsycaniu autonomizmu alzackiego. Ta jego zakulisowa strona daje więc Francji doskonałą sposobność przekonania się, jak podkład ma kampanja mniejszościowa, prowadzona w Genewie i na innych terenach międzynarodowych pod opiekuńczemi skrzydłami Niemiec.

Jeżeli zważyć, że problem alzacki, przy całej swej trudności dla nieprzwykłej do spraw mniejszościowych mentalności politycznej francuzów, nie zawiera w sobie czynników irredenty, należałoby oczekiwać, po bliższym zetknięciu się z nimi, od lewicowych kół francuskich większego zrozumienia dla kłopotów owych państw, które mają do czynienia z prawdziwemi problemami mniejszości narodowych, stokroć bardziej poważnemi, skomplikowanemi i groźnemi dla ich całości terytorjalnej.

FL S.

OSIEM LAT PRACY DRA SOLFA

Gdy uwaga nasza w ubiegłym tygodniu zwracała się głównie na sprawy najbliższe bezpośrednich naszych stosunków ze Związkiem sowieckim, względnie na sprawy bliskiego Zachodu w związku z kwestją Nadrenji, — nie od rzeczy byłoby może rzucić okiem na Daleki Wschód, gdzie od dłuższego czasu trwać musiała niewątpliwie cierpliwa, w ukryciu prowadzona praca przygotowawcza, której ślady teraz dopiero zdają się na jaw wychodzić.

Stało się to z okazji wyjazdu z Tokio tamtejszego ambasadora Rzeszy, dra W. Solfa, który na gruncie japońskim spędził lat 8, a którego obecnie, w momencie opuszczania tego stanowiska cała bez wyjątku prasa stołeczna i prowincjonalna żegnała fotografiami, wywiadami i pochlebniemi nader artykułami. Charakterystycznym zwłaszcza z powodu owych głosów pożegnanych będzie niewątpliwie numer „Japan Times”, w całości poświęcony nietylko osobie ustępującego ambasadora, ale i Niemcom jako takim. Bardziej odeń charakterystycznym może być bodaj głos wydawanej w Tokio w języku japońskim „Rewji dyplomatycznej”, będącej odbiciem poglądów tokijskiego ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie zamieszczono artykuł p. n. „Ave atque vale!”

Wyrażono w artykule tym żal nasamprzód że ów znakomity mąż stanu opuszcza Japonię, a dalej podkreślono, że — jak świadczyła nominacja ta w swoim czasie — w Niemczech po wojnie doceniano trudności, jakie przedstawiciel Rzeszy napotka na gruncie japońskim bezpośrednio po zakończeniu akcji zbrojnej, a nadto iż przywiązywano w Niemczech dużą wagę do nawiązania przyjaznych stosunków z państwem Wschodzącego słońca. Istotnie — podkreśla dalej pismo japońskie, — gdy przedstawiciele Niemiec spotykali się z atmosferą raczej wroga czy przynajmniej niechętną im w Paryżu, Londynie i Waszyngtonie, Tokio pod tym względem stanowiło wyjątek i tu właśnie dr. Solf — jak stwierdza „Rewja dyplomatyczna” — przyjmowany był z całą serdecznością zarówno w kontaktach oficjalnych jak i nieoficjalnych.

Wpływy owych kontaktów były niewątpliwie ze wszech miar korzystne z punktu widzenia dra Solfa, skoro cytowane powyżej pismo japońskie podkreśla w dalszym ciągu, że gdy propaganda państw sojusznicych w czasie wojny usiłowała wystawić naród niemiecki, jako nowoczesnych hunnów, jako dzicz wyzbytą uczuć ludzkich, — w Japonji propaganda ta w niczem nie wpłynęła na opinię najszerszych mas społecznych. Choć bowiem Japonja stała w czasie wojny po stronie państw sojusznicych, niemniej jednak nie sądziła ona nigdy na serio, by wojna europejska być miała wojną między dobrem a złem, jak to twierdzono we Francji zwłaszcza, ani by Niemcy miały być jedynie odpowiedzialne za jej wybuch, ani wreszcie by upadek Niemiec miał zapewnić raz na zawsze pokój wszechświatowy.

Organ tokijskiego ministerstwa spraw zagranicznych ocenia też w dalszym ciągu traktat wersalski, wydając o nim opinię, iż był on — *tout court* — niedorzeczny. Sprostowanie traktatu wersalskiego, rewizja granic i odzyskanie utraconych po wojnie kolonij jest

też gorącym pragnieniem Niemiec — ciągnie dalej pismo japońskie — ale niemieccy mężowie stanu nie są aż tak nierozważni, by już dziś wszczynać mieli dyskusję na temat tych tak trudnych zagadnień. Wiedzą oni, że ewakuacja Nadrenji i znowelizowanie sprawy odszkodowań są interesem żywotnym, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i honor Niemiec. Rzeczą jest niewątpliwie poniżającą posiadanie obcych załóg wojskowych na własnym terytorjum, jak i niemożliwą jest rzeczą spłacanie 2½ miljarda marek złotych rocznych odszkodowań, choćby naród niemiecki pracował jaknajwięcej.

— Jeśli więc zajdzie potrzeba — konkluduje autor tego tak znamienego artykułu, — Japonja gotowa będzie zrezygnować z części należnych jej od Niemiec odszkodowań i poddać rozwadze sprawę wysp Pacyfiku, administrowanych przez nią, z tem jednak zastrzeżeniem, że państwa ententy zrezygnują wprzódy ze swych kolonij na wybrzeżach wschodnio-afrykańskich.

* * *

Oczywista, przytoczonego przez nas powyżej głosu tokijskiego organu nie należy przeceniać nad miarę, nawet jeśli się zważy, iż jest to organ japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Wyrażną linię polityczną ustalać się da jedynie z całego szeregu symptomatów, występujących przez dłuższy okres czasu, na co niestety, nie pozwala nam zarówno oddalenie, jak i luźne jedynie stosunki polskiej myśli politycznej z państwami Dalekiego Wschodu. Niemniej zakarbować go warto w pamięci a może i zestawić z pewnym lekkim zresztą chłodem, jaki od dłuższego czasu zapanował w stosunkach japońsko-angielskich.

Stosunki te właśnie nasświetla nam obecnie prasa japońska w związku z przeciagającą się chorobą króla Jerzego, pod którego adresem wyraża się wiele słów sympatji, przyczem jednak mówi się stale o byłym sojuszu, jaki dawniej wiązał królowę mór z państwem Wschodzącego słońca. Owo umieszczanie sojuszu angielsko-japońskiego w czasie przeszłym a nadto przypuszczenia, wypowiedane niejednokrotnie przez prasę, iż może się da sojusz ów wskrzesić w przyszłości w związku z sytuacją obecną w Chinach, zdają się świadczyć niezbie, że sojusz ten w czasie terażniejszym nie istnieje ani też nie leży w interesie Japonji, którymby grozić mogła przedewszystkiem ekspansja angielska na terenie chińskim. Sojusz z Anglią — podkreślił niedawno „Japan Advertiser”, streszczając poglądy znacznej części prasy japońskiej, — jest kwestją sentymentu, nad którą górować wszakże powinna przyszłość Dalekiego Wschodu, oparta na harmonijnej, zgodnej współpracy japońsko-chińskiej.

O owem ochłodzeniu się stosunków anglo-japońskich wiedzieć musiał niewątpliwie dr. Solf, który w czasie swego ośmioletniego pobytu w państwie Wschodzącego słońca zdołał opanować język jego mieszkańców; musiał też niewątpliwie ważyć je skrupulatnie na szalach swych rozważań, a kto wie, czy nie współdziałał gorąco ze wszystkim, coby owo ochłodzenie pociągnąć mogło za sobą. Sądzić też wolno, że gdy oczy jego padły na owo tak charakterystyczne zdanie o niedorzeczności traktatu wersalskiego, dr. Solf zatarał z zadowoleniem dłoń

— Część pracy została dokonana.

St. Poraj.

OSTATNI OKRES CARATU

Na dni 8—9 t. m. przypada 25-letnia rocznica wybuchu wojny japońskiej, od której datuje się ostatni okres istnienia caratu. Tradycyjne stylowe samodzierżawie uległo załamaniu; do caratu skutkiem klęski zewnętrznej oraz ujawnionego z wielkim efektem bankructwa organizacji biurokratycznej wdarł się pierwiastek konstytucyjny, lecz nie zdołał przemóc ustalonych nałogów i rutyny. Odnowiony na styl pół czy ćwierćkonstytucyjny carat stanowią w owym okresie przysłowiową mieszaninę „paryskiego z niżnie-nowgorodzkiem”. Zaostrzyła ona niewątpliwie jego chroniczne niedomaganie i przyczyniła się niemało do końcowej katastrofy.

Wybuch wojny odruchowo zwrócił myśl opozycyjnych kół inteligencji rosyjskiej ku wspomnieniom klęski sewastopolskiej, która położyła kres systemowi Mikołaja I i zainaugurowała „epokę wielkich reform” jego syna. Ówczesny zagraniczny organ tych kół „Oswobodzenie” cały niemal numer poświęcił tym wspomnieniom, wysnuwając z nich analogję ze współczesną mu rzeczywistością. Wtórował poniekąd tym nadziejom chytry i schlebający szerzącym się nastrojom wydawca dziennika „Nowoje Wremia” Suworyn, obwieszczając swym czytelnikom, że „idzie wiosna”.

Jakoż istotnie przyszła „wiosna” i nawet wcześniejsza i burzliwsza, niż analogja z Sewastopolem pozwalała przypuszczać. Wtedy cała wojna przeszła i minęła bez żadnych objawów rewolucyjnych, jedynie niedołęstwo oraz przekupstwo demaskowało wewnętrzną słabość caratu, lecz nie było aż do końca jawnych wystąpień antyrządowych. Ruch opozycyjny w pierwszych latach nowego panowania, jakkolwiek był skutkiem przegranej wojny, rozwinał się jednak dopiero po niej na gruncie przeprowadzonych reform.

Teraz wszakże rzeczy poszły w tempie o wiele ostrzejszem; już po upływie 6—8 miesięcy zaczęło się wrzenie opozycyjne, a nawet rewolucyjne, do którego hasło dały uchwały konstytucyjne zjazdu przedstawicieli samorządu miejskiego i ziemskiego. Rząd carski przez miesiąc z górą zwlekał z odpowiedzią, aż wreszcie udzielił jej, ogłaszając t. z. ukaz grudniowy. Oznajmił w nim, że zdecydowany jest utrzymać w całej nietykalnej pełni zasadnicze prawo imperjum rosyjskiego (t. j. samowładztwo carskie), lecz w jego granicach podejmuje cały szereg daleko idących reform, których opracowanie powierza komitetowi ministrów.

W ten sposób rząd Mikołaja II po raz drugi podejmował to samo zadanie, które przed półwiekiem postawił sobie Aleksander II i którego należycie nie zdołał rozwiązać. Ukaz grudniowy sprawił w szerokiej opinii wrażenie odmowy. Po falsyfikacie rewolucji, turządzonym w Petersburgu przez popa Hapona, gruchnęła po świecie odpowiednio spreparowana wersja i świat począł oczekiwać od przebudzonej Rosji cudu, którym to miała go zadziwić i zachwycić.

Dotąd imponowała łatwowiernemu zachodowi Rosja swą potęgą państwową i militarną, ale ten złudny miraż rozwił się za podmuchem wichru mandżurskiego. Atoli wnet po tamtym ukazał się zdumionym oczom bliższych i dalszych widzów miraż inny, o wiele dziwniejszy i prawie niezrozumiały. Naraz kazano lu-

dziom wierzyć, że w ogromnym caracie zaszła cudowna metamorfoza, że dawna Rosja gdzieś znikła, a przyszła na świat Rosja nowa, jaśniejąca niebywałymi cnotami i talentami, Rosja, słusznie sięgająca po berło duchowego i społecznego kierownictwa w starym świecie.

Nasza t. z. postępową demokracja posuwała cześć i uwielbienie dla „kadetów” i innych wolnościowych stronnictw rosyjskich niemal do obłędu. Prosty zdrowy rozsądek wystarczał do stwierdzenia, że jedyny kapitał, z którym przychodzi do nas „młoda Rosja” stanowią dotychczas ciągi, otrzymane w Mandżurji, a te chyba nie są ani tytułem do sławy, ani świadectwem uzdolnień państwowych.

W danych okolicznościach Rosja opozycyjna, która wykazywała walkę samowładztwu, miała sposobność wykazania swej wartości i siły właśnie na gruncie tej walki. Skompromitowany carat najwidoczniej chwiał się i był bliski upadku. Ale i „rewolucja” nie umiała się zdobyć ani na energję ani na rozumną taktykę. Działała przeważnie metodą strajków, t. j. dezorganizacji życia gospodarczego; ta bierna metoda nie uderzała bezpośrednio w rząd, a szerzyła w społeczeństwie bezwład i zmęczenie, które przygotowało doskonały grunt dla późniejszej reakcji.

Pomimo wielkiej liczby zamachów terrorystycznych oraz groźnych buntów w wojsku i we flocie, pomimo ogarniających znaczne obszary zaburzeń agrarnych, nie doszło wtedy do właściwej rewolucji, ta bowiem oznacza obalenie siłą istniejącego rządu. Ołóż taki przewrót wcale w tych latach nie nastąpił; ani car ani działający z jego ramienia rząd nie musiał uciekać lub porzucić swej władzy pod parciem ruchu rewolucyjnego. Przez cały ten burzliwy czas rząd carski dekretował reformy i wydawał zarządzenia; on i tylko on przeprowadził na swój sposób dzieło odnowienia ustroju rosyjskiego. Cała epopea ruchu rosyjskiego wbrew początkowym zachwytom okazała się według wyrażenia Milukowa „walką niedołężnego rządu z niezdatną rewolucją”. Zwycięstwo odniósł rząd i wycisnął swą pieczęć na odnowionym ustroju i całokształcie jego stosunków oraz czynności.

Atoli reforma wypadła marnie i według ogólnego poczucia nie rozwiązała bynajmniej zadania ustrojowego. Ciężkie niedomaganie pozostało w głębiach ustroju. „Naprzód uspokojenie, a potem reformy” — zapowiadał Stołypin. Gdy jednak nastąpiło zewnętrzne, biurokratyczne uspokojenie, wnet zapomniano o reformach. Według starego Suworyna, Rosja przeżywała wówczas po nieudanej reformie „psią starość” i nie zapalała się do niczego.

Rząd chciał z niej wypędzić resztki rewolucji rozpętaniem szowinizmu i walki z „inorodcami”. Jak wiadomo, środka tego użył z powodzeniem rząd Aleksandra III po śmierci poprzedniego cara z ręki terrorystów. Ale wtedy umiano utrzymać całą agitację w mocnych karbach i obrócić wyłącznie na użytek wewnętrzny. Teraz poszła ona także w kierunku zewnętrznym i rozpariła wyobraźnię moskiewską widokami nowych zaborów w środkowej Europie i na Bałkanach.

Po ciągach mandżurskich, po nagłym zdemaskowaniu blagi i korupcji wewnętrznej cała Rosja od samego cara do ostatniego chłopca zdawała się być przekonana, że jest ciężko chora i że przedewszystkiem musi się gruntownie leczyć, i wzmacniać wewnętrznie. Wszy-

scy to powtarzali i stworzyli legendę, jakoby między Rosją wczorajszą a dzisiejszą i jutrzejszą powstała głęboka przepaść i jakoby jej zbiorowa dusza uległa cudownej transformacji. Ale już w lat kilka nietylko w rządzie biurokratycznym, lecz i w szerszej opinii puszczono w niepamięć wymowne doświadczenia i zapomniano o potrzebie kuracji. Uwierzono, że zawinili głównie „inorodcy”, którzy wpływami swemi nadwątlili stary patriotyzm rosyjski i tem pomogli skutecznie jego wrogom. Powstała nawet teoria, że wojna z Japonją nie została właściwie przegrana, lecz tylko „niedokończona”... skutkiem braku owego patriotyzmu.

Z pozorami odnowienia, z zastarzałą chorobą w organizmie rzuciła się Rosja w wojnę, która wtrąciła ją w nieobliczalną katastrofę.

T. Grużewski.

DZIECI WYCHODŹTWA WINNY POZNAĆ DUCHA POLSKIEGO

Podczas pobytu w roku ub. w Polsce zwiedzili pedagodzy angielscy m. in. i gimnazjum w Kartuzach. Grono profesorów i uczniów ofiarowało wówczas wiele pamiątek dla uczniów angielskich, oraz fotografje pracy w ogrodzie szkolnym.

Obecnie nauczyciele szkoły angielskiej w Londynie wykorzystali ową fotografję, jako temat dla zadania w jednej z klas. Zadanie to przysłano do gimnazjum w Kartuzach. W wypracowaniu tem wyczytać można entuzjazm dzieci angielskich dla warunków, wśród jakich uczą się i pracują dzieci polskie. Wypracowanie jest następującej treści:

„Na fotografji widzę, że pracujecie wśród pól, jezioro w tyle i drzewa wyglądają bardzo ładnie. Miss

Kammer, nasza kierowinczka, przywiozła nam z Polski dużo bardzo pięknych rzeczy i opowiadała nam wiele o was i polskim kraju. Najbardziej podobał się mi sposób waszego ubierania się (stroje ludowe) i ładne wasze rysunki, które wykonywujecie cudownie”.

Uczniowie gimnazjum w Kartuzach dla podtrzymania nawiązanego kontaktu wysłali swoim kolegom angielskim ładne niespodzianki z wyrobów miejscowych. Przez kontakt ten dzieci zagraniczne nauczą się cenić wytężoną pracę polskiej dźwiatwy szkolnej.

Nawiązując do powyższego faktu, „Wiadomości Codzienne”, wychodząc w Cleveland, Ohio piszą:

„Gdyśmy przeczytali tę wiadomość, przyszło nam na myśl że tak jak dzieci angielskie wyniosły bardzo dodatnie wrażenie z Polski, tak i dzieci nasze tu w Ameryce zrodzone mogłyby wynieść jaknajlepsze wrażenie z Polski, gdyby je można było tak gremialnie chociażby na parę tygodni zawieść do Polski i pokazać im, czem Polska jest, jak ona wygląda i t. d.

Wszystkich dzieci tu zrodzonych z polskich rodziców nie można niestety przewieść do Polski, gdyż bardzo wielka liczba rodziców niema funduszków na taką wysyłkę, ale jednak są wśród wychodźstwa dziesiątki tysięcy rodzin, które mogłyby sobie pozwolić na wysłanie dzieci do Polski chociażby na parę miesięcy i te rodziny powinny to uczynić.

W przyszłym roku będzie Wystawa w Poznaniu. Dziesiątki tysięcy rodaków wyjedzie zobaczyć tę Wystawę. Kto tylko może jechać niech jedzie i niech zabiera z sobą dzieci, a szczególnie starsze dzieci, podrastającą lub dorosłą młodzież.

Kto zaś nie jest w stanie sam jechać, czy to z braku pieniędzy czy też z powodu interesów, które nie pozwolą mu na dłuższy czas oderwać się od zajęcia, niech pośle do Polski swe dzieci. O ile nam wiadomo, gotują się w przyszłym roku dwie wycieczki młodzieży. Jedną urządza Związek Narodowy Polski, łącznie przy swoich wycieczkach, a druga organizowana jest w New Yorku.

„GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

DWA ŻYWIOLY

(Juljusz Kaden-Bandrowski, „Tadeusz”.

Z cyklu *Czarne Skrzydła. Powieść Lwów 1929.*

(Wydawnictwo Zakładu Narodowego Im. Ossolińskich).

Żywioł bestjałskiej coeurowskiej drapieźności, nie kielzanej żadnem szlachetniejszym uczuciem ani hamulcami moralnemi, pędzi przed sobą roztrzęsione, profitujące i chytre galgąństwo kostryńskie, to zaś zasłania się sflaczałym Falkiewiczem przed którym idzie gromada ludzka uciekająca od głodu, chłodu i tysiąca nienazwanych niedoli. Bicz męki pędzi biednych ro-

botników naprzód i naprzód. A ze strony przeciwnej posuwa się ku nim żywioł głuchy, ślepy, nieubłagany. Sofoklesowe zawężenia prą do rozwiązań tragicznych, krwawych, wstrząsających. I nieuniknionych.

To jest sprawa podziemna. Po ziemi łązi bladeński kabotyn „jak we śnie”, jego zacna córka, panna Zuzka, zaczyna spoglądać pożądlivem okiem na Tadeusza, a pani Stanisława chytrze kombinuje, w jakiby sposób usidlić tego Coeura, żeby przestał być groźnym Sfinksem Coeur u końca swoich ciemnych kombinacyj stawia wyjazd urlop, wypoczynek tak przecie zasłużony! Pod ciężkimi łapami towarzysza Drażka odbywa edukację „biedne zwierzę domowe” Koza, żywiołowe łajdactwo Supernaka, rozmyśla jakby tu spieniężyć śmierć konającej żony, Martyzelka zaczyna się czuć

nierozumiana, Kania mówi dalej o figurach czyli zasłonach, pociesza, radzi, chorej Supernaczce przynosi leki, masażystka Knote robi jeszcze ciągle swoje, ale już się niekiedy zastanawia nad sobą i przemienia się od wewnątrz.

Tymczasem toczą się i zrywają układy między pracą a kapitałem i szykuje się uczta duchowa. Pan Cremoix i pan Barron i dwaj inni jeszcze zagrają przeciwie tak cudownie Schumana, aż się dusza Kostryńiowa wzniesie od tego w empirę zachwytu. Pianissimo boskiej melodji zbiegnie się z niesłyszalnym krzykiem podziemnym i zaraz potem ozwie się telefon. I koncert kameralny i katastrofa kopalniana zostały świetnie zaranżowane. Koncert musiał się przeciwie wreszcie odbyć, katastrofa musiała się stać, tak samo, jak panna Zuza została na wszystkie fasony wypieszczona przez tego samego Coeura, który potem brutalnie wziął za kark panią Stanisławę i brutalnie zrobił to, co biedny Medaljon wyobrażał sobie zapewne daleko delikatniej i tkliwiej.

Lecz oto wybuch żywiół. Dyrektor Coeur, świetny aranżer koncertów kameralnych i katastrof kopalnianych, już wie doskonale co jest i co będzie, bierze więc pana Kostryńia moralnie za kark, jak przed paru dniami realnie wziął za kark jego żonę i powiada mu: „Musi pan jechać. Już są wypadki z ludźmi. Pan odpowiada tu za wszystko”. Struchlały Kostryń rzuca się na piersi Coeura, ale ten strząsa go z siebie z należnym obrzydzeniem i wypycha za drzwi.

Tego piekła Danteskiego, które Kaden-Bandrowski opisuje w kilku rozdziałach, streścić niepodobna. Trzeba to czytać i trzeba czuć bolesnym skurczem serca, piekącym wstydem i serdecznym współczuciem. Trujące gazy bestjałstwa i tchórzostwa zabijają niewinnych, nieszczęśliwych, pracowitych. Ale obok wybuchu coeuryzmu i kostryństwa widzimy wybuch cudownego w swem pięknie bohaterstwa. Tadeusz jest pod ziemią, Tadeusz, żołnierz, którzy chodzą na spotkanie niebezpieczeństwom z dobrej nieprzymuszonej woli. I ten żołnierz wolnej Polski staje się w podziemiach wodzem wystraszonych, bezgłowych, sparaliżowanych grozą. „Hańba, hańba, hańba wam, górniczy!!! — wolał Mieniewski tak strasznie honorowo, że się w nich serca i umysły cokolwiek ujęły.” I żywa prawda ocalałych zaświadczyła głośno, że „gdyby nie ów Mieniewski, czyli też Mieniuk... byłaby żywa noga głównym szybem nie wyjechała na powierzchnię” Ale Tadeusz ani myśli chępcić się tem, owszem, razem z rzetelnym sygnalistą, współbohaterem Dusiem, sprzeczącą się z sobą i kłóca, kto ma zostać pod ziemią i czekać na tych, co jeszcze może się przywłoką. Tadeusz zostaje wypchnięty na powierzchnię, Duś ginie w mrokach podziemi w ofierze za braci swoich.

A tymczasem piekło na powierzchni: rozpacz, gniew poniewieranych tak długo, bunt i wściekłość tłumione przez tyle głodnych tygodni, miesięcy, lat... Rozdygotany Kostryń czuje grozę i przemyka się jak łasica czy wąż przez jakieś szpary, zakamarki, dziury, żeby uniknąć oczu zabijających, duszących rąk, kopiących nóg. Przybywa Coeur. Kostryńskie tchórzostwo i łaidactwo rzuca się odrazu ku tej bestjałskiej sile, ale siła strząsa z siebie to plugawe paskudztwo, tego polipa, który czepia się rąk, nóg, choć go tłuką i kopią.

„Pan nie istnieje już, — czy pan tego nie rozumie? Autochton, dzięki, głupi autochton!” Niepotrzebny fagas! Zrobił swoje, podpisywał, co mu kazano, wziął na siebie całe brzemie gałgaństwa i czepia się teraz dyrektora! Nie istniejesz już przeciwie, głupi fagasiel! Nie istniałeś nigdy, istnieć nie chciałeś.

Ale i Couer już nie istnieje. Potężny, możny, bezwzględny pan życia i śmierci Szymczyków z wypalonymi oczami i popuchniętymi palcami, idzie naprzód i depta mrowie ludzkie, głupie, bezradne mrowie, dla którego ma tylko jedno uczucie: pogardy. Aż oto ta siła brutalna, nieugięta, twarda, to bogactwo, ten świat mocy i zbytku, spotyka się z lichym, słabym, marnym Szymczykiem, co to się perlitym potem oblewał, wyciągając ręce popalone ku niewiadomemu miłosierdziu. Długo szli ci ludzie ku sobie z przeciwnych stron ku przeciwnym celom, nie znający się, obcy sobie, tacy różni: jeden wielka potęga, drugi sama niemoc, takie nic... Musieli się spotkać w pewnym miejscu i w pewnej chwili i ani jeden, ani drugi ustąpić nie mógł. Najprzód głucha, bezwzględna, zwierzęca walka, zęby, pazury, stopy... Potem krzyk, który się skłębiał w krtani łatami: „Do szybu z nim, — do szybu!” A szyb płonął już, odgradzając zamkniętych w podziemiu górników od świata, powietrza, ludzi. „Oblepili go, łotrowskiego swego dyrektora, chwycili, przymusili, dobrze, że tu zawczasu na śniegu, żywcem ze skóry nie odarli. Szyb huczał ku nim coraz groźniej. Z trzystumetrowej głębi wylała słup przeciągu, pary, gazu, zionął i dunał rykiem prosto w rozwartą noc... Ku źródłu tych płomieni strzępionych, wzniesionych aż nad wieżę, ku tej mocy, z pod trzystu metrów podziemia buchającej, zawlekli Coeura i z trzaskiem w czeluść straszliwą rzucili”. — Huknął centralny piorun burzy, na którą tak długo się zanosilo, strząsał to, co było najbliższe chmur buntu i rozpaczy, i burza zaczęła nacichać, odzywając się już tylko słabnącemi grzmotami. Żywioly się przesiliły, na widowni ukazał się znowuż człowiek.

Przedewszystkiem, oczywiście „władze, z łózek powstałe, od snu obrzękle, z oczami zaspanemi. Pierwszy znalazł się na placu Kapuścik. Przyznać mu trzeba, — odrazu we wszystkich swoich srebrach i porządkach”. Ale co tam taki Kapuścik! Pan Drażek znalazł się tu w swoim żywiole, jako reprezentant mocy rozgniewanego ludu, uśmierzający i dyskontujący śmierć czterdziestu i jednego górnika. Dobuduje się wreszcie dom ludowy, wyciśnie się gruby kapitał z kopalni dla siebie, dla siebie przedewszystkiem, będzie się filarem ładu i porządku zagrożonego przez bunt. I poseł Drażek liczy skrupulatnie co i jak da się wycisnąć z kapitału dla siebie i czem będzie można imponować masie jako obrońca. Oszałałego ze zgrozy Falkiewicza przygarnie i weźmie od niego czarne na białem zeznania, jak to tam było, kto właściwie zawinił całą tę straszliwą katastrofę. Ale nie poprowadzi się Kostryńia do kryminału. Bo i poco? Co komu z tego przyjdzie? Jeśli kapitał podniesie prestige pana Drażkowskiego przez przyznanie robotnikom podwyżki żądanej i nie poskąpi pieniędzy dyskrejonalnych, to droga do prawdy zostanie porządnie zamulona. Nawet zdaje się, że już wiadomo, iż górnicy sami zawinili cały ten wypadek. Niepotrzebnie leli wodę, robili parę wodną, H₂O! Vis major! Chemja i łacina i wola Boża!

Więc z kapitałem poszło panu Drażkowi gładko. Do kryminału nikt się nie kwapi. A teraz dla ludu trzeba też coś zrobić i dla poległych zaszczytnie żołnierzy pracy. Pogrzeb wspaniały musi być, umrzyki mają dostać ładne, solidne do trumien ubranie, pochód musi być uroczysty, muzyka, duchowieństwo, delegacje, sztandary...! Pan Drażek aż rośnie z tego wszystkiego, bo co tu władze znaczą, co dyrekcja, gdy gniew ludu trzeba łagodzić? Tedy ogromnie szczegółowe ustalanie ceremonjału pogrzebowego i troska o to, żeby wszystko było jak się należy, głównie zaś troska o zabezpieczenie sobie owoców katastrofy, dopóki kapitał jest wystraszony i bezradny.

Wreszcie pogrzeb. Kapitał synął pieniędzmi tak hojnie, że „miało być tych księży zatrząsienie z najstarszym kanonikiem Osady Górniczej Wyrobkiem na czele. Wieść o Wyrobku wstrząsnęła bezrobotnych. Kanonik znany był przecie szeroko, jako burbon i biłat, — a tu prowadzi kondukt?”. Nie poprowadził jednakże. Kazał usunąć czerwone sztandary, na co znowuż nie mógł się zgodzić poseł Drażek. Więc jał przekładać kanonikowi, że naprzód mogą iść sztandary strażackie ze świętymi, potem czarne, górnicze, a gdzieś tam na końcu czerwone, czyli raczej nasze. Nie i nie! Incydent, a potem bardzo gruba komplikacja. Pojawia się ksiądz Kania i zaczyna mówić o Chrystusie pracy. A tu ludzie słyszą jego słowa i widzą rzecz wysoce oryginalną i mocno już symboliczną. Do księdza Kania, bądź co bądź obywatela polskiego, podskakuje wściekły kanonik rzymski, ksiądz Wyrobek, i nuż prać go po twarzy, między oczy, a krzepko i głośno. Kania nic, nie oddaje, „lecz wciąż stoi na miejscu, w pokorze, a tamten bac go jeszcze w zęby i — krzyczy: — Duchowieństwo, — odchodź stąd, — precz od sztandarów diabła, — nie idziemy w kondukcje!!!”

I to jest chwila cudownego przeistoczenia duszy masażystki Knote. Gdy wszyscy tracą głowę, gdy nikt nie wie, co tu robić, wyrывa się z tłumu, „biała na twarzy, jak sam śnieg, z oczyma w środku ciemnymi, niczem zimowe błoto... Cłosem wcale nieludzkim i wcale niekobiecy wola: — My biedni, podli, których poniewierają! Których biją i kopią! My biedni, podli sami poniesiemy nasz krzyż! — Nieszczęśliwa kobieta, głupia masażystka Knote z temi słowy wydarła kościelnemu krzyż, ruszyła naprzód pierwsza, — za nią lasy sztandarów, czerwonych, czarnych i z świętymi strażackie... Pan poseł Drażek rozkazał grać orkiestrom.”

Cudowne w swej prawdzie symbole bitego i bijącego i tej Knote przeistaczającej się w czystego bohatera człowieka. Pogrzeb się kończy, uroczysty, wzniosły, a potem czas znowuż na rzeczy poprzednie. Martyzelce chce się dobrego słowa, czy może pieszczoty księdza Kania, czy jak? Wykrada się z domu i biegnie ku wiadomemu domkowi, ale przez okno widzi, że tam klęczy Knote, a Kania mówił coś, czego słyszeć nie było, tylko po ruchu ust można było poznać wyrazy „Bóg” oraz „zasłony”. Z ogródka zostaje wypłoszona przez dwóch „narodowców” Pstrokońskiego i Machnika. Ucieka, ile siły w nogach, ale zostaje schwytana i upieszczona nieco brutalnie i żwawo. Potem nie może zasnąć z tego wszystkiego, a gdy

wreszcie zasypia, śpi mocno. Nad ranem zdawało się jej, że to tylko sen, lecz gdy się obudziła, koło niej leżał Supernak, wdow'ec, który zabierał się do Martyzelki jeszcze przy zwłokach żony, którą właściwie dobił, bo zbyt wolno konała. Ale go Martyzelka za drzwi wyгнаła, — jak psa.

Więc kto po tym pogrzebie został jeszcze człowiekiem? Tadeusz! Szary człowiek pierwszego tomu, rośnie i dojrzewa moralnie na tle katastrofy, wyrasta na bohatera. Z zaufaniem zwracają się do niego wdowy, jako przecie do syna takiego potężnego lidera partii, żeby im poradził, pomógł... Jest Komitet Pomocy Ofiarom, podobno tam bogacze naznosili różnych rzeczy dla wdów, i pieniędzy. Ale cóż? Wszystko rozdają tym, co i tak mają dość, sztygarom, starszym... Tadeusz słucha i blednie. Potem prowadzi bezradne kobiety do tego Komitetu, obradującego w magistracie. Nie puszczają! Awantura. Woźni biją kogo popadnie i gdzie popadnie, ale wreszcie wdowy z dziećmi docierają do sali Komitetu, gdzie na jednym ze stołów leżą różne rzeczy dla dzieci. Panie w pisk! „Lenora pierwsza, pochyliwszy się nieco, uniosła parę żółtych bucików i z radosnym okrzykiem zawołała: — Pani Wiórowo, — cztery pareczki takie, jakby w sam raz dla pani!” I wtedy panna Zuzanna Kostryńówna rzuciła się na nią — sama haniebna dziewczka Coeura, — zezwała ją od prostytutek i strzeliła do niej z rewolweru.

Cóż jeszcze? Lenora skonała, Tadeusz do krwi obity i z powybijanymi zębami powędrował do więzienia, bo w obronie swej Lenory strzelił do jej zabójczyni i skaleczył ją w kolano. I znowuż Kostryń! Krzątać się, żeby zatrzeć ślady morderstwa, popelnionego przez córkę! Pana Kapuścika prosić! Przecież policja musi chyba wiedzieć, jak to było, że z tłumu zaczęto strzelać, że trzeba się było bronić. Nie trzeba nawet mówić o tem; Bóg jeden tylko wie, jak było. No i to kolano Zuzy! Ale już doktorzy powiedzieli, że śladu nie będzie. Jakiś posąg się dla Zuzy uciulało... Pan Kapuścik mógłby dostać miejsce przy stacji węglowej nad morzem... „Myślałem, żebyście się pobrali”. Więc stręczy córkę Kapuścikowi z tego swego wiecznego, łajdackiego strachu, z tego wyrzeczenia się na wieczne wieki prawdziwego i prawego człowieczeństwa. Potem wzywa się Knote do chorej Zuzy, żeby ją pielęgnowała, ale Knocia już nie ta, co dawniej! Odzywa się do Kostryńia ze słowem prawdy o Zuzie i Coeurze, o pani Stanisławie i Coeurze. Dwie wdowy tu masz po nim w swoim domu. Pan dyrektor Kostryń każe żonie, aby mu szczegółowo opowiedziała, jak to ją pan Coeur, powiedzmy, gwałcił. Szczegółowo, ze wszystkimi drobiazgami...

Ale pani Stanisława nie może go usłuchać, bo po samobójczym czy raczej histerycznym geście, kiedy małżonek przysuwa się do niej z jakimiś już mocno pieskimi uczuciami, dzwoni pan leader Mieniewski, wytelegrafowany przez Kostryńia: „Tadeusz „gubiony — ratować — czekam przyjazdu — Kostryń”. I znowuż gra, kręctwo, łajdacka dyplomacja aż do ponownego stręczenia Zuzy tym razem Tadeuszowi przez ojca. W objawieniu świętego Jana jest takie słowo: „Kto łotruje, niech jeszcze łotruje; a kto jest plugawy, niech będzie jeszcze plugawszy; a kto jest

sprawiedliwy, niech będzie jeszcze sprawiedliwszy; a kto święty, niech się jeszcze uświęci". Kostryń uczynił zadość pierwszej części wezwania do spotęgowania plugastwa duszy. Niżej już osunąć się nie było można. Tadeusz w więzieniu dźwigał się tymczasem coraz wyżej.

Możnaby załamać ręce i pograć się w czarnej rozpacz, ale jest z tego plugastwa wyjście w czysty świat piękna moralnego. Tadeusz! Ojciec Mieniewski, oczywiście, idzie do aresztu, aby się zobaczyć z synem, ułożyć wszystko, zabrać go z sobą, jakaś podróż, czy co...

„Wszedł Tadeusz, ociężałym krokiem wzdłuż ławek zbliżał się do ojca. Poseł Mieniewski zamarł w bezruchu, — przerażony. Nie jego syn! — Jak gdyby obcy człowiek... Twarz?! — Leader doznał bolesnego wrażenia, jak gdyby się w nim serce obrywało. Zśród podbitych oczu, spuchniętych policzków Tadeusza wysterczało coś nakształt ryja. Nie były to zaiste usta!... Tadeusz nie miał przednich zębów. Ojciec częstuje go papierosem, a potem zaczyna mówić, jak to się urządzi i robi to wszystko. I wtedy Tadeusz wybuchu czystem człowieczeństwem:

— Nie mów..! Za ciebie, za was wszystkich jestem tu w więzieniu! Nie staraj się niczego urządzać. Nie organizuj już raz wreszcie! Powiem na sądzie wszystko dokładnie, jak było. Będziecie mi dziękować, zem strzelił tam. Ty i wszyscy! I sąd, — wszelka organizacja, — norma! Strzeliłem w to bezprawie tak straszliwie okropne! Które ty wciąż przekładasz w normach paragrafów! Jak chcesz: ja jestem Mieniuk — a ty jesteś Mieniewski... Cóż mnie obchodzą twoi komuniści, — twoje linje partyjne? Chciałem ci powiedzieć! To, — że jest podłość jakaś olbrzymia w tem, co robisz!

A potem wybuch wielkiego żalu za Lenorą, za ukochaną swoją. Tadeusz bohater staje się raptem dzieckiem, pada na pierś ojca i łka: „Zabili ją! Rozumiesz?! Zabili ją, tę kopalnianą dziwkę, — tatu! — Używszy tego słowa pierwszych czasów dzieciństwa, syn rozplakał się łzami gorącymi, rześnistym deszczem łez, — bez miary. — Tatu, — zabili ją, Lenorę! Lenora Duś na fleku, na biednej deszczuleczce wypisana. Wedle tego, cośmy przeżyli razem oboje... Lenora, — licza ją... Uważaj za mą żonę, — twoja synowa, tatu, — twoja córka! — Złożył głowę na piersi ojca i płakał tak straszliwie”.

I znowuż wyzwolenie z tego straszliwego zaduchu łez dławiających. Ojciec z synem siedzą przytuleni do siebie, płaczą obaj, a tu raptem drapanie i dreptanie dokoła drzwi, a potem drzwi się otwierają i wpada Buruś. „Rzucił się na piersi Tadeusza, szarpał go za rękawy, grzał oddechem, składał głowę na piersi, obłocony, zmarznięty, cały drżący z radości” Buruś, wierny pies, który zawsze tak blisko był Lenory, tak blisko Tadeusza. Pies, stworzenie o duszy czystej, o ileż wyższej i zacniejszej od dusz Kostryńców i Drażków ze wszystkimi ich przyległościami! I stary Mieniewski nawraca się na wierność Burusiową, gdy razem z nim jedzie do Warszawy

Z dzieła tego bije potężna społeczna Katharsis. Powiedziane tu są rzeczy i pokazane symbole, które jeszcze tak niedawno były na indeksie obowiązującej

obłudy. Kania został obity po twarzy, Tadeuszowi wybito zęby, Lenorę, damę z duszy i zacności serca, zastrzeliła paskudna dziewczka. Duś ofiarował się dobrowolnie. Odrodziła się masażystka Knot. Nowy świat prawdy polskiej rodzi się w bólach i cierpieniach, ale się rodzi. Książka Kadena Bandrowskiego wyróżnia się wielkością tematu i talentu, ale nie jest osamotniona. Towarzyszą jej inne podobne książki z ducha prawdy zrodzone. Lenora będzie żyła i Duś także. Z Tadeuszem musimy się jeszcze spotkać, gdy znikną ślady obicia z jego twarzy. Sztuka Kadena-Bandrowskiego budzi podziw i miłość. Przedewszystkiem miłość. Z tej miłości pocznie się i zrodzi nowe pokolenie. Zaś Kostryńie zginą w piekle zasłużonej pogardy. Kadena-Bandrowski uczy kochać i nienawidzić, i uczy walczyć o prawdę i prawdziwość. Szlachetni pójdą za nim w Polskę nową i wolną, a nade wszystko prawdziwą.

W obu tomach „Czarnych skrzydeł” sztuka Kadena-Bandrowskiego dosięgła wielkich wyżyn. Mówiono w przygodnych porównaniach o Dostojewskim, Zoli, Tolstoju... Mutatis mutandis można „Lenorę” i „Tadeusza” przyrównać do każdego z wielkich dzieł literatury światowej, ale ani u jednego z dawnych pisarzy nie znajdziemy tych sugestywnych inkantacji i intonacji stylu i tych olśniewających metafor, które się perłą i iskrzą na każdej jego stronie. Od surowego rytmu epiki aż po najtkliwsze i najcichsze echa liryki kontemplacyjnej wszystko zawarte jest w jego języku i stylu. Ale to jest sprawa osobnego studjum ludzi powołanych. Zaś przeciętny obywatel, spragniony tej prawdy, której łaknęły daremnie całe pokolenia, skazane na milczenie i kłamstwo, chłonie ją z tych stron, jako wiarę w wielkie Jutro i w to człowieczeństwo polskie, które się oto poczyna z ducha Miłości i Prawdy.

Tylko niech nas Bóg uchowa przed komentatorami, którzy tak zrecznie zaciemniają prosty i jasny sens „Przedwiośnia”! Z wołania o ideę polską zrobiono kamień nienawiści partyjnej i ciśnięto nim w autora. Tak samo próbowano już wykomentować wielkie dzieło Kadena-Bandrowskiego. Ale dzieło jest jasne i komentarzy nie potrzebuje. Na ruinach obłudy i kłamstwa wstaje tu wielka święta Prawda, o której Mickiewicz w Prelekcjach powtórzył słowo Chrystusa: „Poznaćcie Prawdę i Prawda wyswobodzi was!”

Paweł Hulka-Laskowski

PERSPEKTYWA

*Mury pędzą do mety linjami gzymsów i pietr —
błękit łagodnym wygięciem nachyla się nad dachami,
Każde okno w oddali jest smukłe — miga jak rtęć
i zalotnie rozmawia z czarnymi latarniami.
Fronty kamienic ściskają kanciastą szyję ulicy —
asfalt jest coraz węższy — u końca wygląda jak klin —
tam — na skwerze kursuje maleńki leniwy tramwaj
na szynach, które początek wzięły od dużych szyn.*

Maurycy Rum

MIŁOŚĆ BŁĘKITNA

Oczy stęsknione przysłonię ciężką, życzliwą powieką,
— dni szarym uwiedłym strumykiem przez palce

nabożne przecieką.

Dzień każdy a obcy odejdzie — noc przyjdzie jak
zlorzeczanie

i niebo się stanie ogromne, brzuchate, spasione cieniem.

Różowe palce na oczy położy każdy poranek,

południe i słońce się pije jak słodką patokę dzbanem.

Wiem to — zgaduję — pamiętam, wszystko jest
przecież jak zwykle,

to tylko serce kłamie — to tylko serce się wikła.

To tylko oczy zmęczone patrzeć już nie chcą, nie mogą

przybite do ziemi milczeniem, znużone gwarem i trwogą.

Mądrej, codziennej pracy pośpiechem mierząc godziny

w los nieugięty, zajadły walicie obuchem czynu

Jak gospodarze dobrzy troszczycie się — tyle roboty

a ręceście urobili, a czoła wam błyszczą od potu.

A tyle trzeba obalić — a tyle jeszcze zbudować,

twarde są przeto myśli i zatroskane słowa.

W rytm pracy miłośnie wsłuchany patrzę, podziwiam
w milczeniu,

— kształt każdy w pracy mozolnej w wyższy,

piękniejszy się zmienia.

I wielka bezbrzeżna miłość przez palce się wasze

przelewa,

zastyga w niemej pokorze w kształcie kamienia lub

drzewa.

Ja wiem to — choć oczy zmęczone ciężarem powiek
się mroczą

— daj Boże siłę mym dłoniom i odpoczynek oczom!

— Az świat mi się wyda pogodny jak niebo błękitne
w lecie,

a my w nim wszyscy jak małe, nic niewiedzące dzieci.

Tadeusz Horzelski.

POLESIE

Spokojna, jednostajna równina wdycha chciwie

Wargami spragnionemi chłodzący napój nieba,

Zmęczyły ją upały i szeptu zbóż na niwie

I ciche skargi ludzi, że nie wystarcza chleba.

Gościńcem wyboistym wracają w barwnych chustach

Po pracy całodziennej spragnione snu dziewczęta,

Śpiew smutny jak te pola, bez przerwy na ich ustach

Wykwita szarą barwą i myśli ptakom pęta.

A na pastwisku równem, gdzie olchy nikłe drzewią,

Spętanych para koni wilgotną chrupie trawę

I nie wie, że nad polem, nad wsią, nad całą ziemią

Noc zawiesiła niebo i tka obłoki białe.

Jan Szczawiej. —

KTOŚ POWRACA
W RODZINNE STRONY

Jest skwarny spokój nad znużoną rolą — ciężarnej ziemi spełniły się miesiące i oto jak bury zwierz, jak nieruchawa bezwładna samica zległa jesiennym płodem. Słońce — żarłoczny pająk, zawisły u stropu w białem lecie obłoków, wysysa płomienną paszczą leniwą krew strumyków i mleczne soki roślin: żarliwą tęsknotą wieczoru sapie zziąbane południe. Tęsknotą odpoczynku wysilane ręce zwawiej w ruch puszczej sierpy; nieco dalej raz wraz rozlśniewa zygżakiem poczwórna błyskawica czterech krzepkich kos i cichym gromem zanurza się w pulchny żywot.

Skróś zżęte pola, szpalerem młodych topól, gna w lekkich skrętach śmiało przed się jak z bicza trzasknięta, biała od kurzu droga. Lecz tam, gdzie już płowe pola przechodzą w żywą zieleń łąk — jakby od niechcienia, pomimowoli przecina szosę senna rzeczułka: na zieleni jak na liściu wije się tłusta gaśienica. Nad rzeczką, od bukowego lasku, miły chłód zawiewa. W lasku wiatr wśród drzew się płacze, sam dokoła pni się goni, dmucha w liście i potraça gałęzie jak studziwieczną drumlę. Opodał, wzdłuż kolejowego toru, wtóruje leśnej drumli przeciągły śpiew telegraficznych drotów. O godzinie szesnastej przyłącza się do chóru nieśmiały brzęk napiętych szyn, zrazu głuchy turkot żelaznej lawiny, syk rozpełnionych sił, wściekły gwizd w hamowanym pędzie, astmatyczny warkot lokomotywy i w huku walącego pociągu ginie, zamilka leśna muzyka. U skraju bukowego lasku, gdzie nad rzeczułką, na moście, krzyżują się szosa i tor, zatrzymajmy się — to przystanek kolejowy: Borki.

Na szerokich rozłogach małopolskich równin, pośród wiossek, fołwarków i leśniczych osiedli (dokąd listy czasem dochodzą po tygodniach błakania), zdarzają się jeszcze takie w szczerem polu samotne przystanki dla lokalnych kolei. Niekiedy przywędruje tam z tobołami ruski kmotek w kierpcach i w białym kozuchu — ma ponoć sprawę do starostwa — lub dworska bryczka w truchcie zaterkocze na drodze; czasem Żyd podwinawszy poły kaftana maszeruje „do stacji” w wysokich juchtowych buciarach i pastuch z parą krów poważnie przystaje: spojrzeniem bez ciekawości patrzy wraz z krasulą, spoziera i czeka — kto taki wysiadzie, kto przyjechał?...

Któż tym razem wysiadł i kto przyjechał? Rozglądając się wkoło wodząc po okolicy niemem spojrzeniem, jakim wita się czasem do niepoznania zmienionego towarzysza dawno ubiegłych lat. Był tu niegdyś las, lecz nie po tej ręce — to po tym zapewne dawnym lesie czerni się to kostropate wzgórze... I cerkiew na przeciwległym pagórku, co niegdyś pokryta omszałą drabiną garbiła się jak zapadła pogańska kontyna — wysmukła się oto i pyszni w słońcu pancernem z cynkowej blachy! Jakże jej w tym przybylszu poznać ziomka? Może raczej pola w stapaniu jego obutych nóg wyczuwają rytm bosego biegu, może rzeka sięgnie pamięcią w głąb lub starsi gospodarze poznają?

Przez długą chwilę wytrzymywał na sobie przyjezdny wzajemne i stokrotne spojrzenia okolicy. Oży-

wiła mu się w oczach, oddychała coraz ciepłej, szybciej, jak omdlały, gdy mu krew znowu lica zarumieni. Wzruszenie lekką dłonią modelowało twarz przyjeźdnego i w grubych rysach tłuszczem wypuklonych w brzdach, które kryły wyraz stanowczości, w nabrzękłych oczach pod rogowemi okularami odtajała zwołana szeroka chłopska fizjonomia. Szedł krokiem coraz szybszym, z ręki do ręki przerzucając walizę, chustką raz po raz ścierając opaloną łysinę. Nie był pewny drogi — lecz wiedział, że to cel podróży, to miedza polna, to jęczmień w snopkach, to dojrzały słońceznik w gąszczu kukurydzy: to Borki. Zmierzchało i na ścierz nisko już rosa opadła, gdy wszedł na łączkę zoraną przez kreta. Grzął po kostki w małych kurhanach, jakby go ziemia usidlać w nich chciała, przytrzymać na chwilę. Przystanął zatem, głębiej w nią wdepnął, nachylił się i pełną garścią nabrał czarną, miłą po upale, zwilgłą od rosy i w tok myśli z dłoni w dłoń ją przesypywał: „Co mnie wówczas popchnęło w tę nieodzowną podróż? Czy straciłem tu coś, czego daremnie szukać — czy przybyłem tu jeno, bo stamtąd umknąłem? Stoję tu oto, jak chłodną strugę przesiewam cię, ziemio, w rozpalonych rękach i nie wiem — ścigam, czy też jest ścigany? Gdzież się zapodziałem, gdzie się zatracił pewien poważny właściciel wielkich zakładów, że się tu oto przybyłem odszukać? Jak nazwać to uczucie, co zatłuszczone serce przyprawia o groźne palpacje i całej tej tyradzie nadaje zlekka patetyczny ton?... Młodzieńcze, stary romantyczny chłopcze — tam za Spokojnym Oceanem zostało dwadzieścia lat niepokoju, lata swawoli i mitręgi skrytobójczych zmagania o życie w pampasach New-Yorku i żywiołowej walki o władzę, o przemoc — gdy ci się zwolna w piersi głęboka czeluść rozwarła i dwadzieścia lat wchłonięła w swą ziejącą pustkę. Jak dur, jak recydywa młodzieńczej choroby na starość ogarnał cię inny niepokój i — jakże to w końcu nazwać — inna tęsknota. O tęsknoto — nie igraj z apopleksją! Nie wiem z a c z e m mi tęsknić każesz, ale żyjesz, rozrastasz się i cierpisz we mnie. Wylęgłaś się bezimienna z poczwarki serca i niepokojem pierś mi rozpierszasz! Przybierz jakąś nazwę, abym wiedział za czem tęsknię, nadaj kierunek niepokojom, abym wiedział dokąd pójść! Ty mnie tu, tęsknoto, przywiodłaś, ty mi ręce do tej ziemi skierowałaś: w tej więc garści chłodnej ziemi szukać mam twej treści? Tej ziemi zapomnianej, po której oczy moje nigdy łzy nie uroniły?... Gdy jednak w dłoni ją wyczuwam i ściskam, wiem że to rodzinna ziemia. Cóż prócz rzewnych wspomnień czyni cię drogą i rodzinną — ziemio tajemnicza jak krew? Zda się rozumiem twój szept: w czyjem sercu uczucie do ciebie na żużel zastygło, ten i braci swoich się wyprze. Długo byłem niepomny, że wiernie istniejesz, że w tobie moja młodość, jak rylcem zakłęta, że się echo moich krzyków do dziś tu unosi.. Choć nie wiem, czy to naprawdę do ciebie tęsknota — ale tam, gdy mnie zmora opętała niechęć i złość — widziałem was Borki! Widziałem tu siebie — dwudziestoletniego, i zatęskniłem doń — a teraz poprzez te słowa bezładne rozpoznaję go w sobie. Tylko on z tobą, ziemio, umiał tak mówić, to głos z twego wnętrza obudził go we mnie...”

Emil Schürer.

NA MARGINESIE

Z POWODU STULETNIJ ROZNIICY Powstania Listopadowego w roku 1930 i 1931 powstaje pod opieką p. prezydenta miasta Warszawy komitet złożony z artystów, mający na celu zorganizowanie Wielkiej Wystawy Sztuki Polskiej, połączonej z konkursami artystycznymi, koncertami i festiwalami teatralnymi.

Inicjatywa słuszna, w której winny wziąć udział wszystkie organizacje i zrzeszenia artystyczne, tak, by Wielka Wystawa Sztuki pokazała ogółowi naszemu istotny wysiłek i dorobek sztuki polskiej w ciągu całego stulecia.

Specjalną uwagę zwrócić muszą pisarze i krytycy na organizację owej wystawy. Wiadomo przecież, że w całym dorobku artystycznym stulecia literatura nasza szła na czele. Należy się jej zatem odpowiednie miejsce i odpowiedni wyraz. Rzecz cała musi być jednak zorganizowana nader umiejętnie, prelekcje, wykłady, czy recytacje winien komitet organizacyjny rozmieścić w ten sposób, by uniknąć monotonji, dając zarazem całokształt zasługi literackiej wieku.

PIERWSZE KROKI w ważnej dziedzinie pośrednictwa pracy, względnie regulowania płacy stawia obecnie w Warszawie Związek Zaw. Lit. Polskich, układając normę minimalnego wynagrodzenia, oraz odbioru takowego przez pisarzy z dyrekcją odczytów Polskiego Radjo. Do inicjatywy Związku przychylił się już Warsz. PEN-Klub. W chwili obecnej Związek na drodze korespondencji przerabia tę sprawę z poszczególnymi pisarzami.

Zarząd Związku przypomina, iż podwyżka tramwajowa w myśl dawnej przyjętej i uznanej uchwały z chwilą wejścia w życie obowiązywać będzie również, jako minimalne wynagrodzenie za wiersz prozy literackiej. Wiersz poezji liczy się podwójnie.

Sędzią do jury Nagrody Literackiej miasta Łodzi wybrany został z ramienia Związku Warszawskiego Wincenty Rzymowski.

„RUCH LITERACKI”, miesięcznik redagowany przez Prof. B. Gubrynowicza przynosi między innymi wyczerpujący artykuł R. Pollaka, poświęcony zgasłemu niedawno Attiglio Begey'owi, obfity dział krytyk literackich, wreszcie nader sumiennie prowadzoną bibliografię literatury polskiej za grudzień. Bibliografja ta obejmuje księgoznawstwo, bibliofilstwo, wiedzę o literaturze, teatr różne i historję literatury.

„CEMENT”, powieść Teodora Gładkova ukazała się w przekładzie polskim w wydaniu Tow. Wyd. Rój. Nazwisko tłumacza nieujawnione. Cement w polskim wydaniu ma 230 stron. O ile sobie przypominamy rzecz w oryginale jest znacznie obszerniejsza. Czyżby wydawnictwa nasze poszły już do tak apodyktycznych stosunków z autorami, jakie uprawiają wydawnictwa sowieckie, obcinając wedle swego własnego uznania przekładane dzieła.

Dlaczego, o ile skróty nastąpiły z upoważnienia autora, nie zaznaczono tego w polskim wydaniu?

Z POŚRÓD ostatnich premier wydawniczych, które niebawem omówimy, notujemy na tem miejscu poezje Mieczysława Brauna *Liść Dębowy*, Józefa A. Gałuszki *Głosy Ziemi*, Jarosława Iwaszkiewicza *Księga Dnia i Księga Nocy*, Witolda Hulewicza *Lament Królewski*, Włodzimierza Słobodnika *Cień Skrzypka* (u Hoesicka).

W prozie zanotować należy II-gie po 50 latach od I-go wydania *Królowej Bony* Kazimierza Chłędowskiego (Ossolineum, Lwów-Warszawa), *Pierścień Sztuki* Alfreda Lauterbacha, Wandy Miłaszewskiej *Księżniczka Dagny* i *Stare Kąty*, powieść (u Hoesicka), wreszcie Antoniego Słonimskiego *Mętne Łby* (w Bibliotece Groszowej).

jk.

MATOWA KRESA

(Herminja Naglerowa

Warszawa 1929. Nakładem księgarni F. Hoesicka).

Ostatnie kilka lat, w których śmierć zabierała po kolei Kasprowicza, Żeromskiego, Reymonta, Przybyszewskiego, były widowym znakiem zakończenia się warstwy geologicznej w dziejowym procesie literatury polskiej. Jeszcze żyjemy bezpośrednio światłem wspomnień już zamkniętej epoki, która, potęgując poczucie braku i jakby pustki, zamyka nam nieraz oczy na rzeczywistość, na nieustający puls życia mimo śmierci. Bowiem też same lat kilka były nietylko okresem, w którym zawiązywały się nowe pędy na glebie literatury, ale i wiosną, budzącą do życia nowe pokolenie, a z niem i nowe dzieła. Do tego nowego pokolenia należy p. Herminja Naglerowa. Debiutowała autorka „Matowej kresy” w roku 1921 tomem poezji, po którym, w latach następnych wydała jeszcze jeden zbiór liryków, oraz dwa tomy nowel. Jej dotychczasowa twórczość ilustruje wyraźnie i od strony dodatniej charakterystyczny rys nowego pokolenia, które, jak każde nowe pokolenie, rozpoczyna od rozpoznawania niejako nowego terenu, stopniowego okupowania go i wyszukiwania nowych jakości, łącząc z tem równocześnie „tre-

ning” swych zdolności twórczych i wydoskonalanie narzędzia pracy. Ten postępowy rozwój, zakreślony sobie prawdopodobnie świadomie i celowo (i w czem widzę właśnie ową dodatnią stronę, ratującą autorkę od romantycznego mierzenia sił na zamiary), rzuca się w oczy, zasłaniając choćby tylko listę dotychczasowych dzieł. „Matowa kresa” jest jeszcze jednym, trzecim z rzędu, zbiorem nowel, po którym, jak głosi zapowiedź, ma się ukazać już powieść. Najwidoczniej więc autorka uznaje się za przygotowaną do wystąpienia z pracą większą. Stwierdzenie tego faktu (ze strony obserwatora oczywiście), daje nam podstawę do skoncentrowania szeregu uwag, jakie nasunęły się w trakcie czytania tych ostatnich dziesięciu nowel, objętych tytułem „Matowa kresa”. Istotnie możnaby powiedzieć, że indywidualność pisarska autorki ukształtowała się ostatecznie, że dokonało się już harmonijne podporządkowanie żywej energii napięć kierunkowych z władzą realizowania ich w formy słowne. Jeśli zaś użyłem trybu warunkowego to przedewszystkiem dlatego, że termin indywidualność jest, jak każde pojęcie, względem, zawierającym w sobie dialektyczną sprzeczność. Indywidualność, pojmowana ze stanowiska logiczno-naturalistycznej genezy stanowi zawsze stop elementów dookolnych i zastanych. Pod tym względem dadzą się z łatwością wyeliminować w nowelach p. Naglerowej różne „wpływy”, z których działanie talentu Kadena-Bandrowskiego ujawnia się najsilniej. Ważniejszą jednak jest rzeczą w jaki sposób i na ile dana indywidualność przetapia wartości dookolne na jakości swoje. Pod tym względem nowela p. Naglerowej wykazuje duży ton oryginalności. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że mamy do czynienia z nawrotem do naturalizmu. Wszystkie nowele opierają się na opisie jakiegoś wyścinka rzeczywistości z charakterystyczną nawet przewagą podkreślania szczegółów przeciętnych szarej codzienności, co w sumie daje kompletny „dokument życia”. Naturalizm ten jest jednak pozorny. W żadnej noweli nie znajdziemy aluzji, które pozwalałyby domyślać się doktryny przyrodniczej, jako spirytus movens postawy twórczej. Naturalizm ten jest tylko charakterystycznym rysem dyspozycji autorki, która przedewszystkiem reaguje (a nawet może świadomie chce tylko reagować) na materialną stronę rzeczywistości, by w niej zawrzeć owo coś, co stanowi stały substrat sztuki. Oploty realistycznego opisu, zawierającego w wielu momentach silną dozę dramatyczności, stanowią wyznacznik dla pewnych procesów duchowych. Ale i psychologizm nie zdaje się być celem żadnej noweli. Autorce chodzi nie o analizę faktów, lecz o uchwycenie ich fenomenu, nie o wyjaśnienie, które zawsze w większym lub mniejszym stopniu musi być hipotezytyczne, lecz o przedmiot psychiczny sam w sobie, takim jakim on jest niezależnie od wszelkich bodźców, przyczyn, relacji. Ta metoda tworzenia jest b. świeża i ciekawa, ale w tym punkcie dadzą się postawić niejaki zarzuty. W noweli tytułowej np. (Matowa kresa) stosunek materiału opisowego, będącego tylko wyznacznikiem, a nie celem dla siebie, nie harmonizuje z ilością materiału psychologicznego. Ten ostatni rozplywa się w pierwszym w tak silnym stopniu, że czytelnik traci poczucie celowości utworu; bo wypadek Pawła w kościele, nie zawiera w sobie dostatecznej siły, by stać się pointą, podtrzymującą, niby filar gołycki, łuki

sklepień całej struktury. Podobne rozplynięcie da się zaobserwować i w „Zielonym kufrze”. Za to nowela „Za ramą lustra” skonstruowana jest świetnie i stanowi, moim zdaniem, najlepszą część zbioru.

Nowele p. Naglerowej wskazują, że naszej prozie powieściowej przybysza świeży, rzetelny i opanowany już talent o nieprzeciętnych możliwościach na przyszłość.

St. Furmanik.

SZTUKA CZY TYSIĄCZKI?

Dyskusja ta zaczęła się od tego, iż sprawozdawca teatralny „Głosu Prawdy” Emil Breiter poddał rzeczowej krytyce poziom repertuaru Teatru Polskiego. W odpowiedzi na tę krytykę dyr. A. Szyfman wystąpił w piśmie swem „Teatr” dodawanem do programów teatralnych z całym szeregiem inwektyw pod adresem krytyka.

Uznając całkowicie słuszność zarzutów E. Breitera podjąłem w Dodatku Literackim „Głosu Prawdy” inicjatywę rozszerzenia całej dyskusji. Uważam bowiem, iż fatalne staczenie się poziomu literackiego w Teatrze Polskim nie jest zjawiskiem oderwanem, lecz pozostaje w związku z całym systemem życia teatralnego stolicy. Brutalne ataki pewnego odłamu krytyki na „Lelewela” Wyspiańskiego, na Claudel’a, na Szaniawskiego („Adwokat i Róża”) z drugiej strony niezmiernie licha i zdawkowa produkcja autorska rodzima (teatralny trust galanteryjny) świadczą wyraźnie o pewnym systemie, idącym po linii najmniejszego oporu.

W odpowiedzi na mój artykuł występuje p. Szyfman w numerze 5-tym swego wydawnictwa „Teatr” z długim, odręcznym pismem („Obroncy Pana Obroncy”), w którym imputuje mi, iż bronię Breitera „przez wdzięczność” (więc za to, że Breiter chwali moje książki?). Że wdaję się w sprawę tego sporu jedynie, by wspomóc Breitera, gdyż teatr dramatyczny nie zajmuje mnie przecież naogół.

P. Szyfman podsuwa nawet akcji mojej motory plotki, która opiewa, iż chodzi tu o usunięcie Szyfmana z listy kandydatów na dyrektora teatrów miejskich gwoli zrobieniu miejsca... Z domysłników wynikałoby, iż to ja właśnie pragnę zabrać miejsce, p. Szyfmanowi.

Rozprawiając się w dalszym ciągu z postawą „Wiadomości Literackich”, które podtrzymywały w dyskusji stanowisko Breitera wyczytnia P. Dyrektor zwinne wolty a w ostatniej wypomina Stonimskiemu, iż takowy zarobił już przecie u niego, Szyfmana 15.000 złotych na „Murzynie Warszawskim”, należy jednak do redakcji „Wiadomości Literackich”, a te (jako?!!) atakują zarobkodawcę 15.000 złotych t. j. p. Szyfmana.

P. Szyfman chwali mnie, jako człowieka najsympatyczniejszego pod słońcem, nie wątpi o moim talencie życiowym, ubolewa jednak, że źle całą dyskusję prowadzę, nie umiem bowiem czytać.

Przyznaję, że tak, jak dyr. Szyfman umie czytać, — nie umiem i nigdy się już chyba nie nauczę. Tak sprytnie czytać, — by, gdy się mówi o podniesieniu repertuaru, — umieć wyczytać interes osobisty?

Tak sprytnie, by, gdy pisarz występuje w obronie jakiegoś stanowiska — wyczytać, iż czyni to, by iść koledze na rękę z wdzięczności za pochwały?

Tak sprytnie czytać, — by ocenę twórczości pisarza przez krytyka rozumieć jako weksel płatny?

Tak sprytnie czytać, — by akcję w celu podniesienia repertuaru uważać za chęć wysadzenia kogoś z miejsca?

Tak sprytnie czytać, — by stanowisko pisma literackiego stawiać pod znakiem zapytania z racji zarobionych „piętnastu tysięcy”?

To trudno: Tak, jak p. Szyfman nie nauczę się czytać nigdy.

Dyrektor Teatru Polskiego twierdzi, iż w sprawach teatru wystąpiłem teraz dopiero, ad hoc, z powodu akcji E. Breitera. Wedle mego mniemania wcale nie ja, lecz właśnie dyrektor Szyfman jest najsympatyczniejszym na świecie człowiekiem, obdarzonym znacznymi talentami życiowymi. Niemniej przeto muszę przypomnieć Panu Dyrektorowi, jako najmiłszemu pod słońcem człowiekowi, iż znacznie wcześniej, niż rozpoczęliśmy tę dyskusję, zaszczytał mnie swem cennym zaufaniem, jako znawcę stosunków teatralnych. Miło mi przypomnieć Panu Dyrektorowi, iż od lat kilku pracuję w Radzie Teatralnej, iż walczę o jej prawa i kompetencje, że na terenie Rady Miejskiej jeszcze od czasów Teatru Bogusławskiego staram się o skierowanie spraw teatralnych na właściwe tory.

Jeżeli dyr. Szyfman nie pamięta o tem, to może właśnie dzieje się tak dlatego, że rozmaicie czytamy te same słowa: Ja bowiem słowo sztuka, czytam sztuka, Pan Dyrektor zaś słowo sztuka, czyta — piętnaście, czterdzieści, czy osiemdziesiąt tysięcy.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

MARCO PRAGA

W Medjolanie zmarł przed paru dniami Marco Praga, któremu ostatnią posługę oddał cały świat artystyczno - literacki i muzyczny Italji.

Kto to był Marco Praga? — zapyta może niejeden z młodszego pokolenia u nas!

Nazwisko tego wybitnego, dziś już może nieco przebrzmiałego autora dramatycznego włoskiego nie było wcale obce Polsce w ostatnim dziesiątku lat ubiegłego stulecia!

Doskonale napisane i nad wyraz teatralne sztuki owego przedstawiciela naturalizmu włoskiego grywano niejednokrotnie w teatrach polskich; między innymi wystawiono we Lwowie za dyrekcji Ludwika Hellera świetną sztukę Pragi: „Idealna żona” („La moglie ideale”), uważaną powszechnie za najdojrzałsze i najlepsze dzieło zmarłego Autora. W Krakowie zaś grano za dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego w lutym roku 1893 „Dziewice” („Le Vergini”), które tematem zbliżone są do „Les Demi - Vierges” Marcela Prevost’a.

Grana też była w Polsce jednoaktówka „Amico” (Przyjaciel), którą Praga debiutował w Medjolanie jako dwudziestotrzyletni młodzieniec.

W przekładzie polskim W Łosia znajduje się również sztuka „Dziedziczka” („L'Erede”), która doznała we Włoszech złego przyjęcia, skutkiem czego autor wycofał się na szereg lat z twórczości teatralnej poświęcając się całkowicie pracy organizacyjnej nad Związkiem autorów włoskich.

Z tego pobieżnego zestawienia widzimy, jak Praga musiał być autorem popularnym i znanym w świecie w latach dziewięćdziesiątych, skoro sztuki jego docierały daleko poza granice Półwyspu Apenińskiego.

„Addio, Praga!” — żegna dziś na łamach „Corriere della Seera” swego kolegę i długoletniego towarzysza Renato Simoni, jeden z najwybitniejszych krytyków teatralnych włoskich.

Zeszedł ze świata człowiek dziwny, człowiek na pozór zimny, suchy, uchodzący ogólnie za typ człowieka „brusque”, w głębi jednak bardzo uczuciowy i tkliwy. Całą swą tklivość i serce skoncentrował ten samotnik na swej matce, którą ukochał nadewszystko nie rozstając się z nią niemal wcale od chwili przedwczesnej śmierci ojca, znanego malarza i poety Emilio Pragi.

Marco Praga z usposobienia skłaniający się ku samotności, dni całe spędzał zamknięty w domu przy pracy, a jedyną pociechą była mu muzyka.

Czyż człowiek, którego serce pełne było miłości dla matki i miłości dla muzyki i namiętności dla teatru — mógł być człowiekiem złym, odpychającym? Był to tylko dziwak i samotnik, pozatem surowy w sądach o sobie i drugich. Marco Praga zdecydowany człowiek teatru był czynny jako autor dramatyczny, którego sztuki cieszyły się przez długie lata ogromnym powodzeniem, jako organizator Związku autorów włoskich i tu na stanowisku pierwszego prezesa położył wielkie, niezapomniane zasługi jako pionier praw autorskich.

Niemniejsze są zasługi Marca Pragi na polu krytyki teatralnej; przez wiele lat był Praga recenzentem w najpoczytniejszym w Italii tygodniku „Illustrazione Italiana”. Trafne jego i inteligentne krytyki, które wychodzą w zbiorowych tomach każdego roku, a których tom dziesiąty jest właśnie w druku, są doskonałym przeglądem teatralnym ostatnich dziesięciu lat.

Do najbardziej znanych sztuk Marca Pragi należy przedewszystkiem „La moglie ideale”, w której święciła triumfy Eleonora Duse i sławny aktor Flavio Ando. Sztuka, o której Fausto Maria Martini powiada, że żywa ta i piękna komedia posiadała swego czasu w rozwoju teatru włoskiego doniosłość równą doniosłości „Paryżanki” Henri Becque'a w teatrze francuskim, zawiera wraz z „Przyjacielem” i „Dziewicami” najbardziej charakterystyczne cechy twórczości Marca Pragi, mianowicie zdrową i bezpośrednią obserwację życia.

Do sztuk jego bardziej znanych i najczęściej wystawianych należy obok wymienionych: „Divorzio” („Rozwód”), „La porta chiusa” („Zamknięte drzwi”), „L'Innamorata” („Zakochana”), „L'Erede” („Dziedziczka”), i inne.

Poważny ten i twórczy pisarz, którego życie upłynęło w skromności, umierając zapisał swój majątek na cele dobroczynne, nie zapominając oczywiście o biednych muzykach sztuce których zawdzięczał tyle pięknych chwil swego pracowitego i smutnego życia.

„Majątek zebrałem ze swej pracy, i oszczędności, nic nie oddziedziczyłem ani nic od nikogo nie dostałem” powiada zmarły w testamencie spisany w roku 1927.

Marco Praga prosi również w testamencie, by pogrzeb jego był jak najbiedniejszy i aby na grobie umieszczono tylko skromną tablicę z jego nazwiskiem, z datą urodzenia (1862) i datą śmierci. Pozatem nic! — żadnych pomników z marmuru ani w Medjolanie ani w żadnym innym mieście Italii, wogóle żadnych zaszczytów!

W myśl pragnień Zmarłego pogrzeb był skromny (na koszt Związku autorów) niemniej jednak uroczysty. Brali w nim udział najwybitniejsi pisarze i aktorzy Italii — a wszystkie teatry medjolańskie zamknęły na jeden wieczór swe podwoje!

Fr. Szyfmanówna.

ODPOWIEDZI „GŁOSU PRAWDY” LITERACKIEGO

W. W. P. Grodno: Niema co ukazywać błędów: Właściwie wszystko jest złe, a to dlatego, że niema w tych wierszach rytmu. Ten właśnie brak oryginalności w załączonych próbkach poetyckich daje nam do myślenia: Czy wogóle warto, by Pan pisał wiersze? Chyba nie! Czy próbował Pan prozy?

Bron Zimnaw... Gdańsk: Stylizacje zupełnie nie wytrzymały w tonie. Tematy tego rodzaju należy szlifować wiele razy. Wylaczać pierwiastki zbędne, niekonieczne, skupiać się na samej istocie materji obrabianej. Radzimy przeczytać jeszcze raz wspaniałe poezje De Heredia!

S. H. Witno: Bravo! Don Juana będziemy drukowali. Proszę nam powiedzieć, jak mamy podpisać ten wiersz. Zecho Pan powołać się w liście na Don Juana. Dziękujemy za miłe słowa. Życzymy powodzenia w dalszej pracy.

Wacława Ch. Pierwsza połowa wiersza dobra, w drugiej cały pomysł rozleciał się. W tej drugiej połowie zaczyna się, — oczywiście, — kostnica i tego rodzaju smutne straszidła. Przepracować ten wiersz, szukać znaleźć koniecznie lepsze wyjście!

Maurycy R. Kołomyja: Wiersze pańskie świadczą o dużej kulturze, może nawet talencie, nie znaczy to jednak, by już były gotowe do druku. Trzeba sobie jeszcze poradzić z tym jakimś dziwnym nicumiarem, czy brakiem doświadczenia, czy poczuciem konkretności przy budowaniu wizji. Wiersz „On” byłby bardzo dobry, gdyby nie to jedno sforsowane porównanie, które powtarza Pan (naturalnie!!) aż dwa razy na początku i na końcu wiersza, — o sliwie. Sliwa dojrzewająca w nas. Sliwa dojrzewająca w naszej głębi. Jeżeli „sliwa” to głębia nasza musi być w pewnym stopniu konkretna, gdyż sliwa nie będzie Panu dojrzewała w pudełku od zapalek, ani w pudełku od zapalek ani w trzostce, czy dwunastnicy. Czyli, — że nasza głębia jest tu czemś zupełnie nieistotnym, jest czemś ad hoc stworzonym dla owej nieszczęśliwej „sliwy”. Należy te rzeczy lepiej, delikatniej, ostrożniej ustawiać, inaczej plan nie trzyma się i jeden t. zw. „drobiazg” rozwala Pana cały wiersz. Pożegnania wiosny, — wiersz wymuszony. Wyczerki.

wanie: Czekają Pan na dziewczynę i nagle robi ją Pan — dla rytmu, — gwiazdą swego ekranu! Żle!!! Czyżby Pan rzeczywiście nigdy naprawdę nie stał pod bramą i nie czekał szczerze na swoją lubą! „Perspektywa” — dobra. Pracować, — postęp jest. — za parę tygodni czekamy nowych, lepiej komponowanych wierszy.

Wojciech J. W-wa: Pańskie szarady przeczytaliśmy z zadowoleniem. Radzimy pracować w tym kierunku, posiada Pan bowiem znaczne zdolności. Nie zniechęcać się obajnością świata.

Jan Ren... Lwów: Fotografia o którą Panu chodzi jest w kilku fot. agencjach niemieckich. Trudno robić wywiad na odległość. Wywiad taki zastąpi Pan z łatwością własnym artykułem.

J. Szcz. Dęblin: Owszem wiele rytmu, wiele harmonji, wydrukujemy z prawdziwą przyjemnością. Szkoda, że musiał Pan posłużyć się tym „czadem”. No, ale trudno, — drobnostka. Oczekujemy tomiku z wielkiem zaciekawieniem.

Nat. W. Końskie: Proza i poezja bez żadnej wartości. Przejawnie, — źle, zmanierowane, niepotrzebne. Radzimy — nie pisać. Nie widzimy śladu talentu. Jakaś nieznośna nudna minoderja.

L. Czu... Poznań: Więc sądzi Pan, że skoro się chce pisać, trzeba koniecznie wymyśleć coś „natchnionego”? To natchnione opowiedzieć natchnionymi słowami. Natchnionymi, t. j. takimi, których nie używa się w potocznym życiu. Które właściwie niczego nie wyrażają. Niestety, — zadaje sobie Pan torturę taką całkiem niepotrzebnie. Poezja i jej wdzięk polegają przede wszystkim na szczerości. Nie trzeba wysilać się na szukanie nadzwyczajności. Cały wysiłek skierować trzeba w siebie samego. Ku wyrażeniu najistotniejszych swych uczuć. Nie myśli Pan jednak, — niestety, nad temi sprawami!

S. Jarosław: Możemy chyba mówić otwarcie? Wszystkie wiersze nadesłane — nic nie warte. Nie powinien Pan tego pisać. W poezji swej powtarza Pan stare, oklepane sposoby wierszowania, ba, nawet pojęcia, obrazy. Sądzymy jednak, że małe miasteczko, tryb życia związany z Waszym zawodem mógłby Wam dać pole wspaniałych obserwacji. Czy nie spróbowałby Pan realistycznej, wyraźnej prozy, związanej z danym środowiskiem? Pisz Pan liche wiersze, mając przecie tuż pod ręką kopalnię typów, wydarzeń, — cały nieporównany mikrokosmos prowincji?!

K. Sz. Łódź — Pabjanice: Radzimy nie pisać. Wiersze nie posiadają żadnej wartości. Szkoda czasu.

Tad. Wit. W-wa: Ależ to nie jest nowela! Czy sądzi Pan, że każde jako tako opowiedziane wydarzenie jest już nowelą? Nowela należy do form nader trudnych. Trzeba tu bowiem na małym od. ku na jakimś jednym wydarzeniu wykazać, — że się tak wyrazimy, — całego człowieka. Wynika z tego, iż wydarzenie musi być tak zbudowane, by mogło wmieścić w siebie konflikt, pozwalający z drobnego fragmentu akcji wnieść o całości poruszonego zagadnienia. Oczywiście, — trzeba to wykonać artystycznie. T. zn. by czytelnik nie czuł mozolu pisarza. Musi to wszystko płynąć jakoby „samo z siebie”. Radzimy przestudować nowele Maupassanta.

Alfred L. Kraków: Prawdziwe zmartwienie: Może to dobry wiersz? Może nie poznaliśmy się na nim? Nie będziemy drukowali. Za bardzo w składni skomplikowane i niewyraźne.

T. H. Więcej Ciepła. Aere Perennius: Przeciętą łatwość dziennikarską, — nic więcej! Tematy artykułów zlepił Pan z różnych dziedzin, traktując sprawę powierzchownie, bez tempera-

mentu a z nudną łezką ubolewania. Brak pionu, brak istotnego stanowiska. Trzeba mieć istotną wiarę w to, co się mówi, by inni mogli też uwierzyć.

Rachela, Łódź: Przeczytaliśmy uważnie wiersze Pani. Nie sądzimy, by były one wynikiem talentu, są raczej wynikiem woli wierszowania. W poezji Pani niema żadnej walki, żadnego zmagania się z formą. Przyjmuje Pan zastane sposoby, sposobami owymi wyrażając myśli banalne tyle już razy powtarzane. A więc, „że trzeba iść zmagać się”. Wiersz jest nader charakterystyczny. Nie wiadomo dokąd iść z kim, przeciw komu walczyć? Jakies niedomyślane do końca postanowienie, jakies echa dawnych przebrzmiałych zawołań. Trzeba to wszystko zmienić od początku do końca. Niech Pani wyjdzie z tego założenia, że nie wolno Pani napisać ani jednego słowa, któreby nie było najbardziej prawdziwą, najgłębszą prawdą Pani życia. Poezja jest najszczerszą spowiedzią człowieka przed sobą samym i przed ludźmi. Trzeba mówić wszystko najprawdziwiej, najżarliwiej z poświęceniem samego siebie. Z tych założeń wychodząc niech Pani próbuje pisać.

Stef. Wil.... Sambor: Wiersze źle, — bez względu na wiek, w którym pisał je Pan. Czytelnika nie obchodzi, ile lat miał autor, gdy pisał. Nie znaleźliśmy w utworach pańskich śladu talentu, t. j. żadnego powiedzenia rytmu, fragmentu obrazu, któryby świadczyć mógł o indywidualności.

A. S. W-wa: Prosimy bardzo: Niechże Pan przedewszystkiem zaprzestanie pisać wiersze natchnione. Niby, że — dusza, że gwiazdy, że wiry światów, noce upiorne i t. d. Po drugie, — radzimy na razie być możliwie najdokładniejszym: Nikt Panu nie uwierzy, że idąc na schadzki z dziewczyną myśli Pan, by otulić się tajemniczo płaszczem i różne tam takie symbolizmy wyczyniać. Niechże Pan przypomni sobie jeszcze raz, jak to było z tą schadzką. Idąc na schadzkę cieszymy się naogół, że mamy schadzkę. Jakie tam otulanie się płaszczem, — nieprawda: Zawijujemy krawat starannie, no a przede wszystkim cieszymy się, że spotkamy naszą ukochaną. Boimy się, czy się nie spóźni. Dalej: Uczucia tęsknoty, miłości i t. p. Radzimy na razie komponować wiersze w taki oto prosty i zwykły sposób. Czujnie kontrolować prawdziwość ekspresji. Zobacz Pan o ile to wiersze piękniejsze od tych „wzlotów” nadziemskich.

L. Śl. Turek: Przekłady bardzo słabe. Niema o czym mówić.

Alfred L. Kraków: Otrzymałmy przeróbkę. Piękny efekt końcowy. Nie może Pan jednak udźwignąć jeszcze ciężaru tego opowiadania. Pospolitość rozmowy obu bohaterów jest zupełnie zbędna a pozbawiona wszelkiego liryzmu. Z drugiej strony realizm opowiadania wymagałby dopełnienia pewnych warunków. Ludzie ci wygodnie leżą na szczycie tak wyniosłym i rozmawiają, jakby to było w kawiarni. Nie. Niech Pan porzuci ten temat, w którym na razie wykazuje Pan więcej zuchwałstwa, niż artystycznej rzetelności. Prosimy o inną nowelę, chętnie wydrukujemy, gdyż — jak Panu wiadomo, — młoda proza cieszy się u nas specjalnymi względami. Musi to być jednak proza, — nie zaś łatanina.

Bronisław Mil. W-wa: Nic nie wartel!

Stef. Bał: Z tym pańskim kucharzem nie stoi sprawa dobrze. Chodzi tu bowiem o to, że nie jesteśmy pismem całkowicie literackim. Nie możemy sobie zatem pozwalać na tak śmiało, czy drastyczne eksperymenty na jakie może sobie pozwalać pismo literackie. Pański „Obywatel” — do niczego! Jakże można, mając istotne uzdolnienie, może nawet talent, — uderzać w próżnię? Co to za symboliczne gładzenia? Do czegoż to prowadzi! Radzimy zawrócić z tej drogi. Pisać trzeba nowelę, powieści, czy opowiadania. Żeby się w nich działo, było, żeby ży-

wi, dobrze zauważeni i podpatrzeni ludzie działali, walczyli, cierpieli i t. p. Niech się Pan o żadne „izmy“ nie martwi. Wynika z każdego ich dzieła sztuki i tak dwa razy za wiele. Kłęcząc artyści jest tworzyć sztukę — a nie izmy! Oczekujemy innej, lepszej, noweli!!! Porządnie zbudowanej!

E. H. Poznań: Ależ oczywiście, — można i trzeba pisać tak, jak się czuje. Wiersze nadesłane są tak nieznaczące, że trudno sądzić z nich o pańskim uzdolnieniu. Są to nawet nie szkice, ot, przelotne notatki.

Wu - Ha, W-wa: Nie. Niedobra jest ta proza i wiersz nie lepszy. Czy sądzi Pani, że może mieć jakieś znaczenie taka sobie notatka o jakichś czerwonych ustach? Albo, że „on“ płynął przez morze, ma brązowe ramiona, „ona“ perłowe zęby? Doznania te są tak łatwe, banalne, nie idą dalej, niż uroda, czy wdzięki postaci, malowanych na reklamie artykułów sportowych.

XY. Poznań: Z wierszy nadesłanych warto mówić jedynie o Dniu Biednego Urzędnika. Ale cóż, gdy zaraz na początku spotykamy takie nieszczęście, jak, — „umierający z braku elektryczności dzwonek“. Następne dwuwiersze o wiele lepsze. Nie straszyć samego siebie słowem „rewolucja“. Nie ubierać ulic we fraki, a jeździ w gorsy koszul frakowych! Starać się czuć temat, kochać go szczerze, naiwnie, cierpliwie i wtedy pisać. Pisać poprawiać pilować, walczyć z samym sobą o każde słowo, póki nie przyjdą te właśnie najprostsze, stanowiące radość, niespodziankę i zdumienie poety!

Alfa, Wilno: Jak mamy podpisać pański Walc? Owszem wydrukujemy! Proszę powołać się na ten wiersz, podając nazwisko, czy pseudonim. Bardzo dobry początek!

Zabor... Ryga: Bardzo to chwalebnie, że zdala od kraju kultywuje Pan język ojczysty. Należałoby jednak czytać współczesną poezję, a to, by wyzbyć się starych oklepanych już u nas nałogów poetyckich i uwspółcześnić sposób pisania.

J. Stasz. Opatów: Niestety jest to już dziś dyskusja nieaktualna, trzeba było wcześniej pomyśleć o odpowiedzi. Nie możemy wracać dla Pana do tematu, który utracił już aktualność.

Edw. Wyl... Stanisławów: Redakcja rękopisów nie zwraca. Nie zgadzamy się z oceną Sz. Pana. Należy rzeczy te ujmować ściślej i skromniej. Nie można przecie odrazu z każdego zaczynającego poety robić twórcę nie mającego sobie równych pośród współczesnych.

W. S. W-wa: Nowela niezrozumiała. Więc ostatecznie cóżto było z tem TPBU? Niejasne, niewytłomaczone, i niestety, — gdyby to nawet wytłomaczono, — nieciekawe. Całkiem niezłe porusza się Pan (poza banałami, jak czerń smokinga, pocałunki, szal, pyjama i t. p. czary) w drobnych krótkich zdaniach. Nie należy jednak starać się o tanią pointę opowiadania. Trzeba szukać jakiegoś poważniejszego konfliktu, niż pospolite qui pro quo. W noweli którą nam Pan nadesłał nie zaczyna się nawet jeszcze sztuka pisania.

Dr. Sew. G. Kraków: Skrypt odesłaliśmy. Nie zgadzamy się z Panem. Nie chodzi wcale o to, by kobiety pisały po męsku. Jest to w gruncie rzeczy obojętne. I wogóle obojętne jest sprawa pisania podobnie, jak ten, czy ów. Natomiast ważne jest, by człowiek umiał właśnie wypowiadać to, czego nikt inny dotąd w dany sposób nie wypowiedział, to jest samego siebie. Sprawa indywidualności, to pierwsza sprawa twórczej literatury. Wspomniana przez Pana pisarka grzeszy rozwlekłymi dłuźzami, gadulstwem i brakiem ścisłości w prowadzeniu akcji.

T. K. Nowy Targ: Być może jesteśmy w błędzie? Być może, balast świeckiej nauki, świeckiej filozofji, studjum przyrodniczo - antropologiczne zaciemniły nam oczy? Nie rozumiemy języka, którym Pan przemawia. Zdaje się nam, iż zagadnienia poruszane przez Niego nie należą dziś już wogóle do istotnej rzeczywistości myślenia.

WACŁAW LIPIŃSKI
(SOCHA)

SZLAKIEM I-EJ BRYGADY

WYDANIE DRUGIE, ROZSZERZONE
Z PRZEDMOWĄ

Juljusza Kaden-Bandrowskiego

DZIENNIK ŻOŁNIERSKI, OBEJMUJĄCY CAŁOKSZTAŁT PRZEŻYĆ I BOJÓW
ŻOŁNIERZY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

PRZECZYTAĆ POWINIEN KAŻDY LEGJONISTA
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

CENA ZŁ. 10

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: **TADEUSZ HIŻ**

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47,

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.